

TYGODNIK ILLUSTROWANY



POJENIE KONI

KAZIMIERZ PUŁASKI

MANIFEST NAJWYŻSZY.

MY, MIKOŁAJ DRUGI

Z BOŻEJ ŁASKI CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSYI, KRÓL POLSKI, WIELKI KSIĄŻĘ FINLANDZKI

i t. d., i t. d., i t. d.

Oznajmiamy wszystkim wiernym Naszym poddanym:

W dniu 5 bieżącego czerwca Najukochańsza Małżonka Nasza, Najjaśniejsza Cesarzowa, Aleksandra Teodorówna, szczęśliwie powiła Nam Córkę, imieniem Anastazy.

Uważając takie powiększenie Naszego Domu Cesarskiego za nową oznakę błogosławieństwa Bożego, zesłanego na Nas i Państwo Nasze, oznajmiamy o tem radosnem wydarzeniu wiernym Naszym poddanym i łącznie z nimi zasyłamy do Najwyższego gorące modły o szczęśliwe wzrastanie i pomyślność Nowonarodzonej.

Rozkazujemy tytułować i nazywać we wszystkich aktach, gdzie należy, Najukochańszą Córkę Naszą Wielką Księżniczkę Anastazyę Mikołajównę Jej Cesarską Wysokością.

Dan w Peterhofie, dnia 5 czerwca roku od Narodzenia Chrystusa 1901, a Panowania Naszego siódmego.

Na pierwowzorze Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:
MIKOŁAJ.

Kazimierz Tetmajer.

PANNA MERY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

DOKOŃCZENIE

Nazajutrz rano biegła po sklepach jubilerskich za nowymi klejnotami.

Kupiła garść brylantów, byłaby chciała skupić wszystkie brylanty w mieście. Cieszyła się nimi w karecie, ale przyszedłszy do domu, spojrzała na nie i rzuciła z gniewem na dywan swego salonu.

To ma być życie?!

* * *

Pani Mery opuściła Warszawę i przemieściła się zupełnie do Zagajowic. Pałac zagajowicki przeistoczył się w istny ogród zaklęty. Pod olbrzymimi oszklonymi dachami poczęły się piętrzyć tarasy i wiszące ogrody, pełne najdziwniejszych i najrzadszych kwiatów, do których teraz panią Mery ogarnęła zupełna namiętność. Wprowadzono wodę i pod oszklonymi dachami warczały pieniały się kaskady i drzemały wśród potwornych paproci i storczyków ciche, zaklęte jeziora. Powyrywano piętra domu i poczyniono kolosalne sale na filarach z marmurów.

Podczas śniegu pani Mery przechadzała się wśród odurzających zapachem kwiatów, albo kąpała się w swoich puszczonej w marmurowe baseny jeziorach. Dziwne ptaki zamorskie sprowadzono do Zagajowic ze Wschodu: oswojone ibisy i marabuty brały jedzenie z dłoni pani Mery, przepyszne czarne łabędzie i drugie białe z czarnymi szycami i czerwonym dziobem, pływały w umyślnie urządzonej sadzawkach. Pani Mery kazała je potem pomalować na szafirowo, zielono, na kolor błękitny, a niektóre pozłocić i posrebrzyć. Nieprzeliczonych barw papugi i kolibry kołysały się na gałązkach oleandrów, palm, pomarańcz i cyprysów. Bajecznej wielkości żółwie wylegiwały się na posadzkach, lub spacerowały wolno po galeriach.

Pałac zagajowicki, otoczony murem i zamknięty dla wszystkich, stał się w okolicy i dalej jeszcze legendową powieścią, a jego właścicielka osobą, która „zupełnie zbzikowała.“

Opowiadano przechodzące wiarę ludzką rzeczy... Nabożne szlachcianki, panie ekonomiczne i panny rządcożny, żegnały się na samo wspomnienie nazwiska „tej waryatki.“

Tymczasem tak samo, jak w opustoszałym obecnie pałacu w Warszawie, i tu w Zagajowicach była zamknięta na żelazne drzwi bez okien, tylko z otworami w szklanym stromym dachu altana, gdzie oprócz pani Mery nikt nie wchodził. Nie był to już skarbiec na klejnoty, ale na środku na kamiennej posadzce ustawiony był ciosowy ołtarz, na wzór dawnych całopalnych ofiarnych ołtarzy. Tam pani Mery rzucała najdroższe kadzidła i wonie na szczapy nasyconego olejkami cedrowego drzewa i zanurzała się w kłębach dymu, poczem padała na kolana i poczyniała się modlić. Nie była to ani prośba o cokolwiek, ani prośba o przebaczenie jakichkolwiek win. Była to jakaś wewnętrzna potrzeba uwielbienia czegoś, życia czemś, podziwiania czegoś i miłowania, czegoś, co jest nadludzkie, co jest imponujące, olbrzymie, nieskończone i wieczne.

— Boże ojców moich!—wołała pani Mery wśród obłoków kadzideł—Boże ojców moich, Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba!

Panie, gdyś wyszedł z Seir, a przechodziłeś przez pole Edom, ziemia się wzruszyła, nieba też kropiły, a obłoki wydawały wodę.

Góry się rozplynęły od oblicza Pańskiego, a góra Synaj od oblicza Pana, Boga Izraelskiego...

On odkrywa głębokie rzeczy z ciemności, a wywodzi na jaśnię cień śmierci...

Podniosły rzeki, o Panie! podniosły rzeki szum swój; podniosły rzeki nawałności swoje...

Nad szum wielkich wód, nad mocne wały morskie mocniejszy jest Pan na wysokości.

Niech płasają pola, i wszystko, co jest na nich; tedy niech wykrzykają wszystkie drzewa leśne...

Pan króluje; wyskakuj ziemio, a wesel się mnóstwo wysep!...

Góry jako wosk rozplywają się przed obliczem Pańskim, przed obliczem Pana wszystkiej ziemi...

Niech zaszumi morze, i co w niem jest, okrąg świata i mieszkający na nim.

Rzeki niech klaskają rękoma; góry wespół niech się rozradują...

On odkrywa głębokie rzeczy z ciemności, a wywodzi na jaśnię cień śmierci...

Pani Mery wpadała w ekstazę. Wydawało jej się, iż w dymie kadzideł zjawiają się anioły i całe ich zastępy.

Dziwne, potworne zwierzęta o ludzkich twarzach ukazywały się w dymie, albo zdawało się, że zlatują się jeźdźcy na wozach, z rumakami z płomieni i z kołami z ognia.

A potem wysuwały się ku niej jakieś ręce i głos jakiś jakoby mówił: Pójdź!

Pójdziesz ze mną z Libanu, o oblubieńco moja! ze mną z Libanu pójdiesz, a spojrzysz z wierzchu góry Amana, z wierzchu góry Sanir i Hermon...

Zaiste, przyjdę rychło. Amen...

Kiedy pewnego popołudnia, pani Mery, slaniając się, wyszła ze swego domu modlitwy, czarny, milczący Murzyn podał jej na srebrnej tacy list: poznała pismo dawno już zameżnej kuzynki Wasserkrantzówny. Ta dobra kobieta niewątpliwie chciała na nią jakiś wpływ wywrzeć, donosząc, że wyczy-

tała w dziennikach, iż Strzyżewski się ożenił z jakąś Polką, spotkaną w podróży, większą panną, podobno bardzo ładną i sympatyczną. Znał ją hrabia Morski.

„Droga Mery — pisała pani Zaniecka-Wasserkrantzówna—droga Mery, jakże mi cię żal! I jakże sobie gorzko wyrzucam, bo to ja w części przyczyniłam się do Twego zbliżenia ze Strzyżewskim. Ach! Czy nie najlepiejby ci było pójść za Jakóba Loewenberga, który cię do dziś kocha i jak świętość uważa?! Taki zacny, taki porządny i uczciwy człowiek. Mówiłaś o nim „ten Żyd,“ a ten Żyd byłby Ci niewątpliwie dał szczęście, do którego tak wielkie miałaś prawo, a którego nie masz... Ja sama siedzę czasem, jak mysz na pudle... Zdradził mi ktoś, że mąż mój przed ożenieniem wahał się między trzema pannami i dopiero po obliczeniu ze znajomymi, że mój posag daje szansę najwyższego procentu—upadł przede mną na kolana, jak za dobrych czasów naszych prababek. A pamiętasz, jak się zawsze oburzał

na „łowców posagów“ i na wszystko „nie noble?“ Ładna noblessa, niema co mówić. Powiedział mi, że mnie kocha nad życie i że od pierwszej chwili, kiedy mię ujrzał, powiedział sobie: ta, albo żadna, a że godłem jego rodziny pod herbem Jastrzębiec, jest napis: *Zgiń, ale nie skłam.* I ja mu uwierzyłam, a teraz się dowiaduję, że jeszcze na tydzień przed ślubem gotów był zerwać, gdyby się mógł zupełnie upewnić, że mu dadzą Bronkowską, tę bogatą, jeżeli pamiętasz? Ach, Mery, Mery! Mnie przynajmniej stosunkowo, choć się ciągle boję, jest dobrze, bo to w gruncie niezły człowiek, ale Ty! Ty, Mery, która miałaś więcej warunków do szczęścia, niż my wszystkie razem, taka piękna, taka utalentowana, taka świetna i tak bogata...“

Pani Mery położyła spokojnie na etażerke list pani Zanieckiej herbu Jastrzębiec z godłem: *Zgiń, ale nie skłam*, a potem rzekła do siebie półgłosem:

Czemu mam szarpać ciało moje zębami mojemu i duszę moją kłaść w ręce swe?...

Gdym dobrego oczekiwał, oto przyszło złe; a gdym się spodziewał światłości, przyszła ciemność...

Tymczasem wieczorna poczta przyniosła pani Mery najmniej spodziewaną drugą wiadomość od pani Zanieckiej:

„Nie donosiłam Ci tego, bo co Cię to mogło obchodzić,—pisała pani Hersylia—że ów tak głośny w swoim czasie rzeźbiarz Rdzawicz, przyszedł zupełnie do zdrowia, bywa, wrócił do świata, poznałam go u Łódzkich i był przed chwilą u nas. Zobaczył twoje fotografie i twój medalion paryski i powiada, że żeby miał niebo i piekło poruszyć, musi cię rzeźbić. Prosi o telegraficzną odpowiedź na moje ręce, czy może przyjechać?“

Pani Mery pomyślała chwilę, a potem napisała na ćwiartce papieru: dobrze.

Potem oparła ręce na balustradzie, oparła na nich głowę i zaczęła patrzeć w przestrzeń, gdzie zapalały się gwiazdy ciche, jasne i milczące.

K O N I E C.

Z tygodnia na tydzień.



Towarzystwo Kredytowe Miejskie i prowincya.

Już 4 lata temu poruszono sprawę rozciągnięcia działalności Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy na inne miasta gub. Warszawskiej.

Projekt ten, przyjęty życzliwie, budził jednak pewne obawy ze względu na możliwy a ujemny wpływ na kurs listów zastawnych Towarzystwa.

Prócz tego włączenie miast prowincjonalnych do Towarzystwa Warszawskiego musiałoby spowodować zmianę ustawy w tym duchu, żeby znieść zgromadzenia ogólne uczestników i zastąpić je zgromadzeniami reprezentantów, wybieranych z grona stowarzyszonych.

Wszystko to powstrzymało czasowo wprowadzenie projektu w czyn, zwłaszcza, że niektóre miasta, jak Łowicz, pragnęły działać na własną rękę i dążyły do tego, aby złączyć się z innymi w samoistne stowarzyszenie kredytowe, niezależne od Warszawy.

Tymczasem władze nie uwzględniły tych życzeń i współcześnie zniosły instytucję zgromadzeń ogólnych, polecając zastąpić ją zgromadzeniami reprezentantów.

Wobec tego warunki ułożyły się dzisiaj tak, że miasta prowincjonalne muszą oprzeć się o To-

warzystwo Kredytowe Warszawskie, które nie ma już powodu opierać się fuzyi.

Wobec nienormalnych stosunków kredytowych, panujących na prowincyi, kwestya rozszerzenia działalności kredytowej Towarzystwa Warszawskiego na całą gubernię, jest kwestyą pierwszorzędnej wagi. Umożliwienie taniego kredytu wybawi prowincjonalnych właścicieli z rąk i ucisku lichwiarzy. Istnieje wprawdzie obawa spadku kursu listów zastawnych, ale, jak słusznie powiada *Gazeta Polska* w artykule poświęconym tej sprawie: „czyżby tylko giełda rozstrzygać miała o najżywniejszych potrzebach kraju?“

Sprawa ta jest ważną i z tego względu, że za przykładem Warszawy pójdą inne miasta prowincjonalne. Wszystko teraz zależy od wyniku obrad reprezentantów Tow. Kredytowego Warszawskiego. Czem się kierować będą obywatele warszawscy: czy względami na interesy lokalne, czy też względem na dobro całego kraju? ut

✎

Wincenty Rapacki (z powodu 40-letnia pracy scenicznej).

Z nazwiskiem Rapackiego łączy się w wyobraźni miłośników teatru wspomnienie wrażeń estetycznych natury głębszej i podnioslejszej. Był on od początku swojej kariery scenicznej i pozostał do końca artystą, który traktował swój zawód poważnie, który każdą rolę obmyślał, zgłębiał, opracowywał, dążąc zawsze do stworzenia oryginalnego i skończonego typu.

Wiadomą jest powszechnie rzeczą, jak znakomicie Rapacki się zawsze charakteryzuje, jak plastycznie uwydatnia zewnętrzne cechy odtwarzanej postaci. Za kulisami kursują anegdoty o perukach, które artysta sam sobie fabrykował, o podgardlach, nosach i t. p., które sam obmyślał i wykonywał. Wszystko to świadczy o niezwykłej sumienności artysty, który zresztą nie poprzestawał nigdy na charakterystyce zewnętrznej, lecz dbał również i o charakterystykę wewnętrzną typów, ucieleśnianych na scenie. Brał on w rachubę czynniki dziejowe, etnograficzne, stylowe i psychologiczne i tworzył z nich plastyczną syntezę postaci.

W r. 1891 (Nr. 99) z okazji trzydziestolecia daliśmy w *Tygodniku* obszernie studyum o jubila-

cie pióra Michała Bałuckiego, ilustrowane szeregiem ważniejszych kreacji Rapackiego.

Dość rzucić okiem na tę bogatą galerję sylwetek, aby się przekonać, ile pracy twórczej włożył w nie artysta! Obok energicznej i ponurej twarzy Jagona rysuje się dobroduszne oblicze Jowialskiego i ostry profil Molierowskiego skąpca. Dalej widzimy Letkiewicza z „Opieki wojskowej,“ Januarego z „Emancypowanych,“ króla z „Mazepy,“ Vidala z „Białego goździka,“ Mistrza Adama z „Wita Stwosza“ i t. d., i t. d.—a każda z tych postaci jest skoncentrowanym typem, każda działa na wyobraźnię widza, jak świetnie odczuty i wykonany portret.

Podobne wrażenie sprawia i figura Radziwiłła „Panie Kochanku,“ którą utrwał na płótnie syn jubilata, artysta-malarz Józef Rapacki, a której reprodukcję dajemy w dzisiejszym N-rze.

Przez lat czterdzieści pracy scenicznej, z których 32 spędził na usługach teatru Warszawskiego, odtworzył Rapacki około 600 ról. To cyfra wymowna.

Ur. 1840 r. w Lipnie, wstąpił w r. 1858, po ukończeniu gimnazjum plockiego, do Warszawskiej szkoły dramatycznej. Uznany w teatrze Warszawskim za „niezdolnego“ (sic!), wstąpił do trupy dramatycznej Pałego i debiutował w Druskienikach w sztuce: „Dziwadła czyli odrodzony“ (Kapitan). Później grywał w towarzystwach: Miłszewskiego we Lwowie, Eisenacha w Czerniowcach i Skorupskiego w Krakowie.

W r. 1869 wystąpił po raz pierwszy w Warszawie, gdzie też pozostał na stałe i doczekał się 40-letniego jubileuszu, który w dniu 21-ym b. m. obchodził uroczystie na scenie teatru Wielkiego.

Jubilat, przyjmowany owacyjnie przez publiczność, wystąpił w tym dniu w podwójnym charakterze: aktora i autora, odegrał bowiem rolę starca w swoim własnym dramacie: „Wit Stwosz.“

„Wit Stwosz“ nie jest nowością. Wystawiony po raz pierwszy w r. 1874, cieszył się czas długi zasłużonym powodzeniem, i mamy nadzieję, że po wznowieniu obecnem utrzyma się na repertuarze, zwłaszcza, że p. Żelazowski w roli tytułowej, Rapacki zaś, Leszczyński, Frenkiel, Śliwicki, Szymanowski i inni w rolach pozostałych, odegrali dramat doskonale.

Prócz „Wita Stwosza“ napisał Rapacki dra-

maty: „Mikołaj Kopernik,“ „Mazur Czart,“ „Maćko Borkowicz,“ „Acernus,“ „Pro honore domus,“ „Odsiecz Wiednia,“ „Starosta Wilczek,“ „Bogusławski i jego scena“ (1888), „Odbijanego,“ „Synowie pana Cześnika,“ oraz powieści: „Grzechy królewskie,“ „Do światła,“ „Hanza,“ „Trefniś,“ „Histryoni“ itd.

Jakkolwiek bogata była działalność literacka Rapackiego, schodzi ona jednak na drugi plan wobec działalności scenicznej, którą jubilat umiłował od młodości i której poświęcał całą swoją istotę.

Literatura była dla niego rozrywką i wypożycznikiem, teatr zaś głównym zadaniem życia. Rapacki jest aktorem z krwi i kości, ale aktorem w wielkim, szlachetnym stylu, a że cieszy się jeszcze pełnią sił i zdrowia, nie wątpimy, że pozostanie na długo filarem naszej sceny.

Wśród hołdów, które składano jubilatowi w dniu benefisowego przedstawienia, należy wyróżnić wieńce i dary, złożone przez artystów teatru warszawskiego i artystów trup prowincjonalnych, którzy uczcili w Rapackim mistrza aktorskiego zawodu.



Wiec obyczajowy w Poznaniu.

Pierwsze tego rodzaju zebranie w W. Ks. Poznańskim odbyło się w zeszłą niedzielę w sali Bazaru, przy udziale około 1,000 osób, przeważnie z warstw rzemieślniczych i robotniczych. Przybył nań także znaczny zastęp pań, pomiędzy którymi zwracały na siebie uwagę gospodynie wiejskie z pod Poznania, t. zw. „Bamberki.“ Inicytywa do urządzenia wieca wyszła z Towarzystwa wstrzeźliwości „Jutrzenka,“ na którego czele stoi obecnie ks. Kościelski, i „Towarzystwa ku zwalczaniu gry hazardowej,“ któremu przewodniczy znakomity patron Kółek włościańskich, Maksymilian Jackowski. Wiec miał na celu podjęcie walki na większą skalę przeciwko dwóm zgubnym nalogom, toczącym siły społeczeństwa polskiego, a mianowicie pijaństwu i grze hazardowej.

Te wady nie są w Wielkopolsce więcej rozpowszechnione aniżeli w Galicyi, ale zawsze to dobrze świadczy o zrozumieniu prawdziwych potrzeb społecznych, że w obecnych warunkach, w jakich ludność polska żyje pod berłem pruskim, podjęto także walkę z wewnętrznymi wrogami społeczeństwa, jakimi niewątpliwie są pijaństwo i karcjarstwo hazardowe. Dowodem to znacznego postępu w normalnym rozwoju ludności wielkopolskiej. Że potrzebę podjęcia tej walki rozumiano w szerokich jej warstwach, przekonać się było można z przebiegu i uchwał wiecu, z licznego udziału w nim mieszczaństwa i ludu i z licznych piśmiennych akcesów różnych polskich Towarzystw aż z Charlottenburga i Drezna do rezolucji wiecowych, wreszcie z osobistego udziału w wiecu delegatów aż 18 Towarzystw przemysłowych, rękodzielniczych i rolniczych.

Podniosłemu wiecowi przewodniczył tak zasłużony w pracach obywatelskich patron, Maksymilian Jackowski, wicemarszałkiem był niezmordowany szermierz sprawy wstrzeźliwości w społeczeństwie wielkopolskim, dr. Zygmunt Celichowski, który jako plenipotent dóbr Kórnickich hr. Władysława Zamoyskiego, zrobił już praktyczny początek w dziedzinie zwalczania pijaństwa, znosząc w tych dobrach zwyczaj dawania robotnikowi i robotnicom wiejskim wódki podczas pracy, mianowicie podczas żniw.

Arcybiskup Stablewski przysłał na wiec wspaniały list z arcybiskupstwowym błogosławieństwem i z ojcowską zachętą dla obywatelstwa świeckiego w podjętej walce. Mowy główne wygłosili: znany pisarz ludowy i założyciel Towarzystwa wstrzeźliwości „Jutrzenka“ Józef Chociszewski, który ze stanowiska historycznego i społecznego mówił o sprawie pijaństwa w Polsce, dr.

Adam Karwowski z Poznania, który mówił „O alkoholu ze stanowiska lekarskiego,“ i dr. Zygmunt Celichowski z Kórnicka, który podał różne sposoby i środki zaradcze przeciw pijaństwu, wreszcie sprawę karcjarstwa hazardowego poruszał obszernie i przekonywająco marszałek wieca, patron Jackowski.

Z przyjętych jednogłośnie rezolucji przeciw pijaństwu należy przytoczyć, że wiec uchwalił założyć, a raczej powołać do nowego życia i działalności zawiązane w r. 1887 ogólne Towarzystwo szerzenia wstrzeźliwości.

Wiec przyklasnął także życzeniu jednego z mówców, żeby szulerów i hazardystów nie zaliczano do honorowych ludzi, mających prawo żądać i dawać satysfakcję w sprawach czci obywatelskiej, żeby z szulerami i hazardystami nie zawierano jakichkolwiek stosunków rodzinnych i towarzyskich, wreszcie, żeby osobistościom, podejrzany o karcjarstwo i grę hazardową, nie oddawano stanowisk z odpowiedzialnością materialną i moralną.

Oto esencjonalna treść wiecu obyczajowego w Poznaniu. Dobrzeby było w społeczeństwie naszym, gdyby choć część żądań powyższych należyty w nim znalazła oddźwięk i urzeczywistnienie. Naprawa obyczajów to pierwszy warunek moralnego zdrowia każdego społeczeństwa.

F. K.



Dobry początek.

Przed kilku tygodniami *Kuryer Warszawski* w artykule „Dobroczytność po wsiach,“ wykażał liczbę ochron dla dzieci i przytułków dla ubogich, które się znajdują w powiatach: Łowickim i Sochaczewskim.

Jeżeli to ma być początkiem dalszego ciągu poszukiwań w tym kierunku, to szczerze powinniśmy szanować go należy.

Nie zajmowaliśmy się dotychczas zbyt filantropią wiejską. Czasami potrafi o nią Tow. higieniczne na posiedzeniu odpowiedniej sekcji; niekiedy w dziennikach ukaże się wzmianka o utworzeniu ochrony lub przytułku przez właściciela większego jakiegos majątku, i na tem koniec.

A jednak dobroczynność na wsi to olbrzymie i nieużyte jeszcze pole działania. Charakter jej z natury rzeczy musi być inny od naszej miejskiej.

My możemy pozwolić sobie na zrzeszoną pracę i ofiarność w celu niesienia pomocy bliźnim. Na wsi doniosłość stowarzyszeń zastępuje dobra wola jednostki, skąd, rozumie się, wypływa zupełnie inne uorganizowanie i zmniejszone rozmiary aktów miłosierdzia.

Przytułki w Szymanowie lub Brochowie (pow. Sochaczewski), utrzymywane kosztem właścicieli majątków i istniejące już cały wiek przeszło, zapewniają byt czterem, najwyżej pięciu nędzaczom, gdy ich jest na miejsc z pewnością więcej. Trzy ochrony ks. Maryi Radziwiłłowej w pow. Łowickim niewątpliwie nie są w stanie pomieścić wszystkich dzieci, potrzebujących opieki i nadzoru w danej okolicy.

Gdyby wszakże za przykładem tych ofiarnych jednostek chciały podążyć inne, gdyby prócz tego była zwrócona uwaga na gminy, które kosztem niewielkich składek ze strony wiejskiej ludności mogłyby przyczynić się do otwierania szpitali i utrzymywania przytułków, postęp w kierunku udzielania opieki potrzebującym szybszym zapewne podążyłby krokiem.

Częstsze podnoszenie spraw tych w prasie pobudziłoby może niejedno gorące serce do zajęcia się losem wiejskiej dziatwy i bezdomnej tułaczki nędzy. Tyle młodych, bogatych dziedziczek nie wie, co robić z sobą, jak zabić dzień długi: niechby naśladowały poprzedniczki swoje i poświęciły ubogim trochę czasu i pieniędzy.

Wywiady w kierunku dobroczynności po wsiach otworzyłyby oczy na brak takich koniecznych urządzeń, jak ochrony dla niemowląt, których matki pracują w polu, zorganizowana opieka nad choremi położnicami i zastępowanie ich w gospodarstwie domowym, kąpiele ludowe i t. p.

Na Zachodzie instytucje podobne wprowadzono już oddawna; u nas niema nawet mowy o nich.



Sądy rzemieślnicze.

Oryginalny i zasługujący na poparcie projekt złożono sekcji rzemieślniczej.

Jest to ustawa sądów rzemieślniczych, zmierzająca ku temu, aby sprawy pomiędzy majstrami, pomiędzy majstrami a czeladnikami, a nawet pomiędzy rzemieślnikami a publicznością, jeśli dotyczą robót fachowych, były rozstrzygane nie przez sądy zwykłe, lecz przez sąd rzemieślniczy, złożony z majstrów i czeladników.

Dobłą stroną tego projektu jest to, że sąd rzemieślniczy, działając w specjalnym zakresie, mógłby załatwiać sprawy szybko, a powtóre dalby publiczności, krzywdzonej przez niepunktualnych i niedbałych rzemieślników, możliwość poszukiwania strat bez uciekania się do długiej i przykrej drogi zwykłego sądu.

Możeby to wpłynęło korzystnie na nasze stosunki rzemieślnicze i ukróciło przysłowiową niesumienność i niepunktualność naszych majstrów.

Projekt wspomniany opracowała w myśl jednego z dezyderatów zjazdu rzemieślniczego instytucja centralna w Petersburgu i tamtejsza szkoła rzemieślnicza, ma więc on wszelkie widoki zyskania sankcji państwowej.



Szybkość samochodów.

Jazda samochodami rozpowszechnia się u nas coraz więcej. Władze nawet popierają ten pożyteczny i wygodny środek lokomocyi.

Uwolniono już samochody od podatku szosowego, a uwolnienie od opłaty rogatkowej jest podobno przewidywane. Wszystko to bardzo słusznie, gdyż samochody mają wielką przyszłość przed sobą.

Na jedną bardzo ważną stronę kwestyi atoli nie zwrócono dotychczas uwagi, a mianowicie na unormowanie szybkości samochodów, krążących po ulicach miasta.

Za granicą, a zwłaszcza we Francyi, gdzie sport automobilowy rozwinął się niesłychanie, a „kawalerska“ jazda amatorów powodowała częste wypadki, wydano już odpowiednie przepisy, a nawet wynaleziono przyrządy, pozwalające służbie bezpieczeństwa publicznego kontrolować szybkość samochodów.

U nas do tej pory niewiele było słyhać o nieszczęściach, ale przy wzrastającym zamiłowaniu do nowego sportu, należy mieć na uwadze możliwe konsekwencje i zapobiedz z góry wypadkom, a przynajmniej sprowadzić je do minimum.

Wogóle, samochody, krążące po ulicach Warszawy, jeżdżą dość wolno, swoją drogą jednak zdarzało się nam spotykać maszyny większych rozmiarów, pędzące z nadzwyczajną szybkością po pryncypalnych arteriach miasta, gdzie ruch pieszy i kołowy jest bardzo ożywiony.

W takich warunkach o wypadek nietrudno. Dlatego należałoby koniecznie określić maximum szybkości pojazdów automobilowych.

Przejeżdżając nas tramwaje, dorożkarze, cykliści; jeżeli jeszcze zaczną nas gnieść samochody, to spacer po wązkich względnie ulicach Warszawy stanie się bardzo ryzykowny.

ut





OSTATNIE DNI POMPEI

Z Salonu A. Krywulca.

ULPIANO CHECA

OSTATNIE DNI POMPEI.

Z

dawałoby się, że przyroda w celowości dzieł swoich postanowiła zachować dla przyszłej cywilizacji dokumenty dawno minionej przeszłości z całą, niezatartą niczem, niby ujętą na gorącym uczynku, prawdą i świeżością zjawisk.

Straszny kataklizm natury pogrzebał zniecka wśród mialkich popiołów życie dwóch miast państwa Rzymskiego, kwitnących pięknnością i dobrobytem, niegdyś, w pierwszym stuleciu naszej ery, aż oto po siedemnastu wiekach, kiedy nad starym światem przeszły już niszczące wszystko hordy barbarzyńców, kiedy kamień na kamieniu nie ostał z pracy umarłych pokoleń, z pod stwardniałej ławy i sypkich piasków wynurzają się naraz mury miast całych, w nieskażonej prostactwem nowych ludów krasie, zabytki starej kultury klasycznej, takie, jakie były w ów dzień okropny—w ostatni dzień Pompei.

„Dzień przemienił się w noc, pisze Dio Cassius—noc w ciemności; wulkan wyrzucił niepojętą ilość popiołów i piasku, przepelnił nimi ziemię, morze, powietrze i zagrzebał dwa całe miasta, Herkulanum i Pompeję, w chwili, kiedy lud znajdował się na igrzyskach.“

W roku 1750 odkopano pierwsze domy nie-szczęśliwych miast, i dotychczas nie ustają poszukiwania. Ciągłe nowe odkrycia wzbogacają wiedzę szczegółami o życiu starożytnych i rozpalają fantazję artystów. Odtwarzano też ów straszny dramat piórem i pendzlem.

Sir Edward Jerzy Bulwer Lytton w słynnej swego czasu powieści starał się ożywić odnale-

zione w popiołach kościotrupy zaskoczonych wybuchem wulkanu mieszkańców; przyoblekł je w ciało, odział w tuniki i togi, kazał czuć, myśleć, kochać, nienawidzić, wreszcie ginąć tragicznie pod lawiną piasku, popiołów i spadających jak z nieba, głazów. Teraz mamy przed sobą obraz, w którym artysta dał plastyczny wyraz owej tragicznej chwili.

Pan Krywult do salonu swego sprowadził płótno wielkich rozmiarów hiszpańskiego malarza Ulpiana Cheki pod tytułem „Ostatnie dni Pompei.“

Checa jest przede wszystkim malarzem ruchu i znany już jest w Warszawie z innego obrazu, wyobrażającego wyścigi w cyrku rzymskim. Dwie kwadrygi najechały na siebie w największym pędzie; konie, ludzie, wozy splątane w szalonym wirze; zamęt, gwałtanina i ruch nadzwyczajny—ruch w tej spiętrzzonej masie ciał końskich i ludzkich, ruch wśród widzów, którzy zasiedli na sterzącej tuż nad katastrofą spinie i w głębi w amfiteatrach. Obraz ten oglądaliśmy również w salonie p. Krywulca, a *Tygodnik Ilu. trawany* podał z niego w swoim czasie kopię piórkową. Obecnie wystawione płótno posiada te same cechy znamienne dążeń artysty, jak zreszta wszystkie inne jego obrazy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Głównem dążeniem jego jest właśnie pochwycenie ruchów gwałtownych, nagłych skróceń, możliwie najsilniejsze nateżenie akcji i poszukiwanie dramatyczności wyrazu. Straszliwa tragedia Pompei całkowicie przypadła do temperamentu hiszpańskiego artysty, to też rozwinął ją z całą potęgą właściwego sobie rozmachu. Jest tam i ponura

groza, i zgiekliwa wrzawa, zamieszanie, ścisk, olbrzymi impet uciekających w popłochu przed okropnościami rozszalałych żywiołów ludzi i zwierząt, jest nastrój i siła.

Potworny krater Wezuwiusza zionie piekielnym ogniem i oświeca czerwoną łuną mury miasta i uroczą zazwyczaj zatokę, na której, niby jakieś krwawe widma, majaczą czerwienią żagle statków. Na głowy uciekających sypie się gorący popiół i piasek, rzekłbyś: deszcz ognisty Dantewskiego piekła. Snują się szare pasma po obrazie, miejscami rozpalone do czerwoności odbłaskami krwawej łuny.

Czy zjawisko to jest prawdziwie wystawione, trudno orzec, w każdym razie wygląda bardzo prawdopodobnie. Obraz malowany jest szeroko, dekoracyjnie, gdyż wymagają tego choćby już tylko wielkie rozmiary płótna, a jednak twarze figur pierwszoplanowych, wymodelowane wypukle, posiadają nader wymowny wyraz przerażenia. Dalsze plany w układzie wykazują pewne zaniedbanie kompozycji. Morze głów ludzkich, jakby wyrównane na płaszczyźnie pod strychulem, razi monotonością, dlatego też ta część obrazu jest najmniej interesująca. Śmiałe skrócenia i dobre ustosunkowanie postaci w perspektywnym zagłębieniu dowodzi znacznego opanowania środków. Światło, przeprowadzone nadzwyczaj logicznie, zabarwiając wszystkie przedmioty kolorem krwawej łuny, wywołuje wrażenie jakiegoś straszliwego pandemonium.

Bądź co bądź, jest to obraz niepośledni, i jeżeli zwracam nań uwagę, to nie dlatego bynaj-

mniej, że imponuje rozmiarami i za przedmiot ma scenę pełną grozy, ale że jest naprawdę dziełem malarza o olbrzymim temperamencie, szczerym wyrazem jego indywidualności artystycznej i tem zdobywa sobie niezaprzeczone prawo do uznania.

* * *

Jeżeli się już jest w salonie p. Krywulta, warto się przyrzeć przedziwnie artystycznym akwafortom z dzieł Meissoniera. Kolekcja ta, składająca się z 60 tablic, wykonanych z przedziwną finezyą, musi być prawdziwą uczcią estetyczną dla znawców. Oto nazwiska rytowników, których

prace obejmuje rzeczona wystawa: Abot Boulard, Alassonière, Champollion, Courtry, Focillon, Fairre, Fairre, Kratke, Lalouze, Leterrier, De Los Rios, Mordant, Mignon, Manesse, Manchon, Toussaint, Teyssonnière i Waltner.

J. JAROSZYŃSKI.

Józef Kallenbach.

Warszawa zyskała w tych czasach nową, poważną siłę literacką: dr. Józef Kallenbach, profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie fryburskim (w Szwajcaryi), przeniósł się do nas i objął z dniem 1 czerwca r. b. kierownictwo Biblioteki Ordynacji Krasińskich.

Młodego uczonego, który od chwili ukończenia swych studiów długi czas, bo lat przeszło 12, spędził na obczyźnie, witamy pośród nas tem serdeczniej, że społeczeństwo nasze i instytucja, na której czele staje, znajdują w prof. Kallenbachu wybitnego i pożytecznego pracownika, jakich na polu literatury ojczystej nie mamy zbyt wielu.

Kallenbach jest człowiekiem młodym, bo urodził się w r. 1861, dzięki wszakże swemu zamiłowaniu i niestrudzonej pracy, stworzył już sobie nazwisko, znane zaszczytnie w literaturze. Urodzony w Kamieńcu Podolskim, ukończył Kallenbach z odznaczeniem nauki gimnazjalne we Lwowie, gdzie prof. Kubala, autor znakomitych szkiców historycznych, wziął pod swoją opiekę żadnego nauki i ulubionego swego ucznia. Lata uniwersyteckie, spędzone we wszechniicy Jagiellońskiej, zwróciły na Kallenbacha uwagę takich znawców języka i literatury ojczystej, jak Lucyan Malinowski i Stanisław Tarnowski, pod których egidą z zapalem oddawał się studjom. Pierwszym ich owocem były prace o Kochanowskim, za pobudką profesora K. Morawskiego, oraz ogłoszona w roku 1884 rozprawa doktorska: „Geneza Odprawy posłów greckich.“ W końcu tegoż roku Kallenbach udaje się jako stypendysta Wydziału krajowego do Lipska, a następnie do Monachium i Paryża, gdzie w dalszym ciągu uczęszcza na wykłady uniwersyteckie, a wszystkie wolne chwile obraca na wynajdowanie w archiwach bibliotecznych rzeczy polskich.

Po powrocie do Krakowa, bierze Kallenbach udział w ekspedycji naukowej, urządzonej staraniem Stanisława Smolki, do wiecznego miasta, w celu odnalezienia w archiwach watykańskich śladów stosunków Polski z czasów Batorowskich z Rzymem, poczem, w roku 1887, zostaje na czas krótki bibliotekarzem Akademii umiejętności i docentem literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim i ogłasza drukiem rozprawę: „Rewizya tekstu pierwszej części Dziadów,“ oraz studjum: „O czwartej części Dziadów.“

W r. 1889 powstał we Fryburgu międzynarodowy uniwersytet, który zwrócił się do wszechniicy Jagiellońskiej z prośbą o wyszukanie dla niego odpowiedniego kandydata na profesora literatur słowiańskich, a nasza „alma mater“ uznała Kallenbacha za godnego podtrzymania tradycji Mickiewiczowskiej katedry w Szwajcaryi. Zaszczycy to nielada, nie mógł się więc od niego uchylić Kallenbach i objął ten posterunek, jakkolwiek z żalem opuszczał kraj rodzinny.

Wśród licznych słuchaczy Kallenbacha w Krakowie znajdujemy nazwiska znanych dziś pisarzy: Kazimierza Tetmajera, F. Hoesicka, d-ra Stanisława Estreichera, d-ra A. Kurpiela i wielu innych. W ciągu dwunastoletniej działalności pro-

fesorskiej we Fryburgu wykładał (po polsku i po francusku) najważniejsze okresy literatury polskiej: wieki XVI, XVII, koniec XVIII, epokę romantyzmu i t. d., a między słuchaczami miał znane dziś w nauce osobistości, jak np. prof. d-ra A. Kolesę (Lwów), ks. d-ra Gabryła, prof. uniwersyteckiego, d-ra St. Waszyńskiego, d-ra Kazimierza Rakowskiego i innych.

Wogóle cieszyły się wykłady literatury polskiej największem powodzeniem i licznych miały słuchaczy; po za tem prof. Kallenbach traktował



Józef Kallenbach.

dość szeroko literaturę rosyjską i wykładał lingwistykę słowiańską.

Z dawnych prac naukowych prof. Kallenbacha, ogłoszonych drukiem, wymienić należy: *Filozofia Jana Kochanowskiego* (1888), *O improwizacji Konrada* (1890), *Les humanistes polonais* (1891), *Adam Mickiewicz* (1897, w dwóch tomach), *Tło obrzędowe Dziadów* (1898), *Mickiewicz à Lausanne* (1899).

Obecnie drukuje Kallenbach we Lwowie wydanie krytyczne „Dziadów“ Mickiewicza, ze wstępem obszernym, jako IV tom *Dzieł A. Mickiewicza*, wydawanych przez Towarzystwo literackie imienia Mickiewicza; nadto wydaje dwa tomy *Korespondencji francuskiej Zygmunta Krasińskiego z Henrykiem Reeve*, które ukażą się w druku jeszcze w ciągu roku bieżącego w Paryżu; pracuje zaś nad obszerną monografią o *Młodości Zygmunta Krasińskiego* na podstawie nowych, zupełnie dotychczas nieznanach materiałach.

Bibliotekarstwem zajmował się Kallenbach od r. 1887, gdy został bibliotekarzem Akademii umiejętności w Krakowie. Następnie w r. 1888 zbadał urządzenie słynnej, olbrzymiej Biblioteki

w „British Museum“ w Londynie, a w r. 1889 porządkował rękopisy Biblioteki polskiej w Paryżu; w r. 1898 studyował w Rzymie urządzenie Biblioteki „Vittorio Emanuele,“ a w Archiwum Watykańskiem równocześnie sporządził inwentarz stu woluminów rękopiśmiennych, zawierających cenne materiały do ostatnich lat rządów Stanisława Augusta.

Jak widzimy, prof. Józef Kallenbach nie traci czasu... To też w czerwcu roku 1900, na III zjeździe historyków w Krakowie, dostąpił (wspólnie z prof. Ptaszyckim) zaszczytu przewodniczenia drugiej (literackiej) sekcji zjazdu, a wygłoszony tam przez niego referat o *Niezalutwowionych kwestjach piśmiennictwa naszego w XIX w.* przyjęto hucznymi oklaskami.

Oto szereg prac, które mówią same za siebie.

Miejmy nadzieję, że gleba rodzinna okaże się jeszcze podatniejszą dla naszego uczonego, a praca jego w kraju niemniej płodną w rezultaty.

J. W.

Bez nazwy.

Cicha, wiosenna,
Kwietniowa noc!
Omgłona, senna
Spoczywa ziemia;
Duszę oniemia
Jakaś bezdena
Porywów moc.

Upojeń czarów
Daleki czas:
Słonecznych żarów
Przyroda czeka
I pierś człowieka,
Czerwcowych skwarów
I róży kras.

Lecz ta godzina,
Noc kwietnia w mgłach,
To jak dziewczyna
W pierwszym rozkwicie,
Gdy już poczyna
Przezuwać życie
W tęskliwych snach.

Więc choć nas letni
Upaja czas
Goręcej, świetniej,
Lecz—o dziewczęce
Sny o jutrzence—
Piersi stuletniej
Jeszcze żal was!

ADAM M-SKI.

T. T. JEŻ (Z. MILKOWSKI).

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE.

8)

Utrzymujący uczniów obowiązani byli dawać instruktorom pomieszkanię i pożywienie, uczniowie zaś od siebie płacili im retribucyę lekką. Dla studentów ubogich i dla ludzi, którzy wskutek reorganizacji szkolnej na bruku się znaleźli, stanowisko instruktora było dobrodziejstwem ogromnem. I Gonzal przeto instruktora trzymał, którego opłacał z kieszeni własnej.

Kiedym się u niego na stancyi znalazł, zastałem instruktora w osobie młodzieńca, który zrazu, nie rozumiem dlaczego, płatał się w pamięci mojej pod nazwiskiem Puchalskiego, którym był jednak wsławiony później na polu badań i hipotez etnograficznych—Franciszek H. Duchński.

Wogóle rok pierwszy pobytu u Gonzala mętnie mi na tle wspomnień występuje. Było nas chłopców niewiele, sześciu czy ośmiu. Nazwiska ich w pamięci mojej mieszają się z nazwiskami tych, którzy w roku następnym przybyli w liczbie tak znacznej, że się w domu, a raczej w jego przybudowaniu, zrobiło pełno i ciasno. Z roku pierwszego zarysowuje się mi najwyraźniej postać instruktora, chłopca młodego, lat szesnastu czy siedemnastu, smukłego, oblicza białego, z rumieńcami silnymi, ciemnowłosego, który ze mną na tablicy arytmetykę przerabiał, lekcyi słuchał i odrabiania zadań pilnował.

Był on dla nas przedmiotem podziwu, do śmiechu pobudzającego, z powodu ruchów dziwacznych, jakich się ciałem i twarzą dopuszczał. Wykrzykiwał się, wyginał i ramionami rzucał. Bawiło nas jednak najbardziej do łóżka, gdy spać się kładł, wchodzenie.

Usiłował do pościeli wskoczyć tak, jak nurek do wody skacze. Nie udawało mu się to, pomimo, że w sztuce tej wieczoru każdego się ćwiczył. Nastawiał się, podskakiwał, przysiadł, balansował się, dłonie nad głową składał, próbował, próbował, a my, patrząc na to, ze śmiechuśmy się pod kołdrami dusili. Rys ten przyda się może do biografii Duchńskiego, o którym z czasu onego nic więcej powiedzieć nie umiem. Nie zaznaczył się we wspomnieniach moich niczem, coby za zapowiedź powołania etnograficznego uważać można. Zresztą, we względzie tym postrzegacz ze mnie był niekompetentny. W latach jedenastu postrzegaczem nie jest się jeszcze.

Nasz tryb życia tak się układał: Mieszkaaliśmy w jednej dużej izbie, będącej zarazem sypialnią, uczelnią i jadalnią. Wzdłuż ścian dokoła stały łóżeczka uczniów, pośrodku stół długi z ławkami po stronach dłuższych, ze stołkami po krótszych, nad łóżkami półeczki, a na nich książki i kajety.

Latem i zimą wstawaliśmy o szóstej, umywaliśmy się, ubierali, pacierz odmawiali i o siódmej do śniadania zasiadali. Ci, dla których rodzice herbatę, kawę lub mleko wymówili, pili herbatę, kawę lub mleko, inni

dostawali zacierkę, krupnik jaglany lub hreczany, polewkę mączną lub coś podobnego. Jam do tych ostatnich należał. O pół do ósmej odzywał się dzwonek szkolny, szykowaliśmy się w ordynek i szli pod dozorem instruktora. Od ósmej do jedenastej lekcye, po półtorej godziny jedna z kilkuminutową przerwą, w której nas na podwórze szkolne wypuszczano. O jedenastej powrót na stancję w ordynku, o dwunastej obiad—zupa lub barszcz, mięso, jarzyna lub kasza—o pół do drugiej, na odgłos dzwonka, do szkoły się udawaliśmy i znów pozostawiali w niej do piątej.

Po powrocie popołudniowym dostawaliśmy po kromce chleba z masłem lub powidłami, bawiliśmy się pół godziny i zasiadali do uczenia się lekcyi i odrabiania zadań. Wieczeraliśmy o pół do ósmej, a szli spać po pacierzu o dziewiątej.

Na lekcye prywatne czas brał się bądź w porze obiadowej, bądź po wieczery, na której miewaliśmy najczęściej krupniczek jakiś lub bigosik z jabłkami. Krupniczek dawano nam ze schabem, a w schabie znajdowało się często pełno śrutu drobnego. Pochodziło to stąd, że się mięso wędziło pod daszkiem nad kominem, i, gdy się z komina nie dymiło, do mięsa zaglądały wrony, które Gonzal strzelał.

W zasadzie Gonzalostwo jadać z nami byli powinni, i tak się było zaczęło, ale trwało to niedługo. Pani chorowała; z racy choroby pani, nie siadał do stołu pan: jadał z dziećmi (dwóch synków mieli) osobno. Nam przydywał instruktor. Gonzal przychodził niekiedy, w progę stawał i czas jakiś naglądał, czyniąc uwagi, dotyczące się przyzwoitości przy stole.

Zjawiał się niby Jowisz, co miało dobrą swoją stronę: nie powszedniał nam, i słowo jego każde znaczenie miało doniosłe.

Do stołu posługiwali, jako też obuwie i mundurki czyścili nam chłopcy, przysłani z synami przez ojców niektórych, dbających o to, ażeby dzieci ich miały obsługę własną. Takich zawsze było kilku. Podhorski Zygmunt miał z sobą kozaka starego, chodzącego w kurcie szafirowej i w szarawarach szerokich, zakładającego sefedeć za ucho i noszącego w uchu jednym dużym, srebrnym kolczyk.

Kolczyk ów intrygował mnie; zapytałem kozaka: na co go nosi?—odpowiedział mi, że dzięki temu słyszy, jak trawa rośnie.

— Do ciebie—tłómaczył mi—trawa nie mówi, a do mnie mówi: bzzz...

Pierwszy rok w szkołach przeszedł mi bardzo dobrze. W naukach zaszła była przerwa kilkotygodniowa: zapadłem na kór (odrę); wynagrodziłem jednak czas stracony i po egzaminach dostałem do klasy drugiej promocyę z zaznaczeniem: w naukach „celujący“, w konduicie „przykładny“. Trudność językową przełamane z łatwością. Zresztą,

w istocie, nie była to trudność, ze względu na to, że nauczyciele, w większości swojej jeszcze Polacy, pomagali nam do jej przełamania, tłómacząc po polsku, czegośmy po rosyjsku nie rozumieli. Jeden z nich, Mokijewski, który geografię wykładał, przemawiał do nas po rusińsku. Ze strony nauczycielskiej, za wpływem zapewne Miładowskiego, chęć złagodzenia ostrości rozporządzenia, podstawiającego nagle mowę jedną zamiast drugiej, była szczerą i ogólną.

Wszakże i w gronie nauczycieli trafiali się tacy, którzy się do porządku nowego nałamać nie mogli. Język niemiecki wykładał nam Grudziński niejaki, człowieczek stary, chudy, malutki, mówiący po polsku z mocnym akcentem niemieckim, zabawny nad wyraz wszelki: ten po rosyjsku słowa jednego wymówić nie był w stanie. Język mu nie służył. Gdy usiłował mówić po rosyjsku, mówił po niemiecku, z niemieckiego zaś tłómaczył po polsku. Z tego koła zaczarowanego wyjście dla niego niepodobieństwem było. Wyrazy kaleczył, rzucał się, wykrzykiwał i wywoływał w klasie śmiech, z powodu którego w gniew srogi wpadał. Z klasą, liczącą stu z górą chłopaków, niełatwo było do ładu trafić, zwłaszcza, że Grudziński sam sobie zadanie utrudniał, przyjąwszy do nauczania języka niemieckiego metodę praktyczną.

— Gramatyka—powtarzał z akcentem przysłowiowym — to stara baba, co młode dzieci męczy...

Uczył więc nas w klasie mówić. Zdanie wymawiał i nam powtarzać kazał, wygłosiwszy na początku roku trzy zdania, z których w jednym znajdował się rzeczownik *Katze*, w drugim *Mütze*, w trzecim *Knopf*.

Powtarzanie sprawiało hałas straszliwy, ogłuszający, dla którego uniknięcia wprowadził wymawianie frazesu jednego i tego samego kolejno przez uczniów wszystkich. Skończyło się na tem, że uczniowie wyuczyli się doskonale trzech zdań owych i, gdy Grudziński zażądał, ażeby sami z pomysłu własnego zdania tworzyli, każdy budował frazes na podstawie *Katze*, *Mütze* albo *Knopf*. Wyjść stąd ani rusz. Doszło do tego, że go to we wściekłość wprawiało. Zakazał używania trzech tych wyrazów i zagroził, że kto jeden z nich wymówi, temu laskę na głowie roztrzaska.

Tego jeno brakowało, ażeby uczniowie nie wymawiali wyrazów innych. Grudziński na wymawiającego z laską podniesioną się rzucał; ten pod ławkę nurka dawał. Powtarzał to razy kilka i laskę roztrzaskiwał, nie o głowę jednak niczyją, lecz o ławkę. Mimo to, był to człowiek bardzo dobry, dzieci go lubiły; ile razy na niepokój się pożalił i o spokój poprosił, w klasie zapanowywała cisza, i lekcya odbywała się dobrze. Gniewał się i unosił, ale ani sam karał, ani skarżył.



TYGRYSY

JERZY GARDET

W momencie owym, za sprawą J. J. Rousseau i Pestalozziego, krążyły po Europie nowe prądy edukacyjne; za sprawą zaś Miładowskiego poglądy te przenikały w Niemcowie do umysłów ludzi tak nauczających, jak uczących się. Śród tych ostatnich wyrażały się one pod postacią tego przekonania, że lekcye wydawać należy słowami swojemi, to jest, nie recytować, lecz opowiadać. Przekonanie to wszakże nauczyciele podzielali nie wszyscy. Jeden mianowicie odznaczał się opornością w tym względzie. Był nim Mokijewski, człowiek na nogę jedną kulawy, który nam geografię wykładał. Wykładał przedmiot swój wcale starannie, pod tym zwłaszcza względem, iż nam mapy kreślić kazał, w czem z uczniów niektórzy do zadziwiającej dochodzili doskonałości. Ale co się „słów swoich“ tycze, okazywał się nieugięty.

Nie dosyć, że zadawał „stań dotąd,“ ale jeszcze w książkach elementarnych wykreś-

łał ołówkiem wyrazy, które za zbyt liczne uważał, wymagając wyuczenia się tych, które pozostawiał, dosłownie, w porządku, w jakim następowały jedne po drugich. Gdy kto wyraz zmienił, jeden nadto wtrącił lub porządek przeinaczył, wnet poprawiał, niekiedy lekcję za nieumianą uważał; tłumaczącemu się zaś, że mówi słowami swojemi, odpowiadał:

— Jaż od ciebie nie wymagam, ażebyś mówił słowami cudzemi... Wyucz się na pamięć i mów, a będą to słowa twoje, bo z niczych, jeno z twoich wyjdą ust. .

O nauczycielach innych, z czasów pierwszoklasznicostwa mego, wspomnienia mi się w pamięć nie wraziły. Język rosyjski wykładał Rosyanin z nazwiskiem polskim, mówiący po polsku wybornie; łaciński — ów krzywousty, o którym powyżej wspomniałem: nazwiska ich z pamięci mi wypadły. Arytmetyki nauczał Miładowski, katechizmu proboszcz niemirowski, ksiądz Antoszewski,

francuskiego Feron, kaligrafii i rysunków Gonzał.

Katechizm był przedmiotem jedynym, który się w polskim wykładał języku. Ten nauczania nadawał Miładowski i utrzymywał go w nastroju ojcowskiej dla młodzieży życzliwości. Rozumiał on zadanie edukacyjne i umiał je rozwiązywać, imponując podwładnym swoim nie tylko wyższością wiedzy, lecz oraz postawą. Z dziećmi i młodzieżą pod wąsem, która zaludniała najwyższą podówczas w Niemcowie klasę czwartą, obchodził się po ojcowsku w takim nawet razie, gdy karę wymierzał. Ach! nie zapomnę strachu, jakiego się raz pewnego nabrałem. Czułem ze strachu omdlewanie, umieranie.

Było to po majówce, na którą wyprawiliśmy się w całość, za dawniejszych czasów praktykowanej paradzie: ordynkiem, z korpusem nauczycielskim, poprzedzanym przez dwa przez uczniów starszych niesione berła, na czele, z muzyką, z nadzieją uciech.



LWY

JERZY GARDET

Pora sprzyjała. Majówka powiodła się doskonale. Dzień cały spędziliśmy na polance w lesie, bawiąc się w gry różne, zjadając przysmaki i spoczywając lub błądząc w cieniu drzew.

W ciągu dnia gromadka chłopaków w wieku moim, a z nimi i ja, zwróciliśmy się w kierunku, który nas doprowadził do płotu wysokiego.

— Co to?...—zapytał któryś z nas.

— To zwierzyniec...—odpowiedział najstarszy i najrezolutniejszy, Mieczysław Mysłowski.—Chcecie?... chodźmy...

— Do środka?... — jeden zapytanie rzucił.

— Ano... Zobaczymy jelenie, danielle, sarny, bażanty...

Nie potrzeba nas było do tego zachęcać. Mysłowski, którego rodzice pod Niemirowem mieszkali, miejscowość znał i nas do bramy poprowadził. Bramę przeskoczyliśmy,

po zwierzyniec pochodzili, zwierzynę zdaleka oglądali i... powrócili.

W tem, zdaje się, zdrożnego nie było nic, lubo odwiedzenie zwierzynca należało może do rzeczy zabronionych. Nie wiedziałem o tem, i żaden z nas nie wiedział. Gdyśmy wchodzili, nikt nie bronił, ze środka nikt nie wypraszał, chociaż nas widziano. Nie mieliśmy do wyrzucenia sobie przewinienia najmniejszego; niemałem przeto było zdziwienie nasze, gdy w parę dni po majówce, wszystkich nas, którzyśmy w zwierzyniec byli, po lekcjach do dyrektora do kancelaryi wezwano. Miładowski na nas czekał; ale co gorsza, wchodząc, widzieliśmy stróżów i kalefaktora, którego obowiązek polegał na dzwonieniu w dzwonek i biciu w skórę.

— A!...—odezwał się dyrektor, gdyśmy się u progu uszykowali—do zwierzynca chodziliście?...

— Kiedy?...—tonem protestu odparł Mysłowski.

— W czasie majówki...

— A niech nas Pan Bóg broni!...

— Nie chodziłeś?

— Ja?... Nie... Może kto, ale nie ja...

— A ty?...—zapytał stojącego obok.

— Ja?...—odpowiedział zapytany głosem niepewnym.

— Chodziłeś?...

— Cho-o-cho-dzi-łem...—wyjąkał.

Zapytanie przeszło szereg od końca do końca; przyznali się wszyscy.

Przyznać się musiał i Mysłowski, tłumacząc się, że zapytania nie zrozumiał.

Nastąpił jednak potem nie w formie zapytania już zarzut, który nas w zdumienie wprowadził.

— Chodziliście i jelonkowi róg złamali.

— A niechże nas Pan Bóg broni! — zawołał Mysłowski z akcentem pewności.

Niestety! z takimże samym akcentem poprzednio pod obronę Pana Boga się uciekał.

(DCN)



WINCENTY RAPACKI
W ROLI Ks. K. RADZIWIŁŁA (PANIE KOCHANKU)

Rys. JÓZEF RAPACKI

WYSTAWA LUBELSKA.

I.

WRAŻENIA.—MYŚLI.—UWAGI.



lekroć pisma nasze zapowiadają jaką wystawę, pomiędzy wierszami gładkich zaproszeń, górnołotnych odezw — czytam zupełnie inne słowa. Jedne z chytrym uśmiechem spekulanta szepczą: „Znów nowa gratka! Brawo! Zgarnie się nieco grosza, postrzyże trochę wełny na... ludziach, a przy ogniu społecznego interesu upieką pieczeń jednostki. Niech żyje wystawa!“

Drugie zaś zrzędzą: „Chodź-no na egzamin, kochanku! Pokaż, coś też zrobił od ostatniego popisu? Czegoś się nauczył? coś zdobył? Czy niema kąkolu w twem ziarnie? kłamstwa i blagi w twej pracy? Tylko—nie pokrywaj bogatym płaszczem zgrzebnej koszuli, nie maluj policzków, jak zalotnica. Stań przed nami we własnej świtce, pokaż prawdziwe oblicze: choć blade—ale niepodrobione.“

To głos obywatelskiej uczciwości stawia kwestyonaryusz.

Ponieważ, dzięki inicjatywie filantropijnej i staraniom Komitetu—w cichym Lublinie urządzono na raz aż dwie wystawy—sprawozdawca radby wyczytać z nich odpowiedzi na ów kwestyonaryusz. Więc snując się po korytarzach gmachu po-Dominikańskiego, gdzie zebrano świadectwa cywilizacji dawno minionych wieków; błądząc między strojnymi kioskami i pawilonami wystawy rolniczo-przemysłowej — pytałem: czem bywają wogóle wystawy? jakie ich zadania i cele? Zabawa to, czy nauka? błyskotliwy popis próżności, czy wierny obraz wytwórczej siły kraju? szlachetny turniej nowożytny, czy też zwykły jarmarczek i reklama?

Wystawie, jak i każdej sprawie ludzkiej, powinienby przyświecać cel użyteczności—i to użyteczności ogólnej, obejmującej interesy zarówno wytwórcy, jak i konsumenta, kupca, pracownika, a także—sprawę cywilizacji i krajowego bogactwa. W myśl takiego założenia, należałoby uważać wystawę jako pouczający a wierny obraz wytwórczości kraju, rzucony na tło jego społeczno-handlowych interesów. W praktyce jednak bywa ona zwykle popisem—zabawą—reklamą.

Gdybyśmy jednak chcieli czytać uważnie a krytycznie te nader ciekawe karty otwartej przed nami księgi; gdybyśmy wysnuwali z nich nietylko chełpliwe pochwały, radosne uniesienia, lecz także dopatrywali wskazówek o naszych brakach i niedostatkach; słowem: gdybyśmy każdy taki zbiorowy występ umieli tak wyzyskać, jak np. właściciele hotelów i restauracji—wystawowych gości... wystawy byłyby dla nas wielką moralną i materialną korzyścią.

Od ostatniej wystawy w Lublinie upłynęło z górą lat 40—niemożliwym jest więc jakiegokolwiek porównawcze zestawienie—rozejrzyjmy się raczej uważnie w ostatniej. Przedewszystkiem—trochę cyfr.

Według katalogu, deklaracji ogółem nadesłano 878, z czego przypada: na nasiona i rośliny gospodarcze 59; konie—deklaracji 44, okazów 379; bydło—deklaracji 42 przy 490 okazach; owiec sztuk 198, należących do 23 wystawców; trzoda chlewna okazów 71, wystawców 8; oddziały drobiu, ryb, pszczoł, psów zawierają 14 wystawców. Do działów licznie obesłanych należy rzemieślniczo-rę-

kodzielniczy, deklaracji 151, w tem wystawców z Lublina i gubernii Lubelskiej tylko 64, reszta po za konkursem—z Warszawy przeważnie, choć były i z Frankfurtu nad Renem: M. Hümpfnera okazy stali i przyrządów do ostrzenia, H. Straucha z Kołobrzegu—machiny, Towarzystwo akcyjne A. Lehnigk z Velschau i in. Przemysł fabryczny dał 30 wystawców; chemiczno-fabryczny 34; włóściański 87; praca kobiet 62; płody leśne: torf 23. Dział naukowy deklaracji 40; etnografia 140 i t. d. Pawilonów własnych wzniesiono 25; kilka długich i obszernych dla okazów rzemieślniczych, zbożowych, drobnego przemysłu, galanterii. Także długie i liczne szopy dla koni, bydła, owiec, trzody. Zebrał się więc wystawców zastęp niemały i okazów pokaźna liczba, choć przemysł cukrowniczy był reprezentowany nader skromnie, a na 40 rozesłanych kwestyonaryuszów etnograficznych nadesłano wypełnionych zaledwo 4.

Pomimo pewnych braków, wynikających z chronicznego lekceważenia niektórych zagadnień społecznych i obowiązków—wystawa na ogół obesłana jest dobrze, jest się w czem rozpatrywać, nad czem myśleć, a nawet i co podziwiać.

Choćby ot ten pawilon, przy którym stoją kolumny drzew, szarą korą odziane, gdzie leżą kloce potwornie grube, belki olbrzymie, bale, deski, stosy gontów. To pawilon ordynacji Zamojskiej. Oprócz okazów naturalnych, można tu z wielkiem zadowoleniem obejrzeć piękną kolekcję drzew i krzewów ułożoną tablicami, obejmującą próby liści, kwiatu, korzenia każdego gatunku; zbiór jaj ptasich i ptaków, motyli i ciem; mapy lasów, tablice porównawcze miąższości i opałowej wartości drzewa, próby drzewa surowego i politurowanego, fotografie tych olbrzymów, które legły gwoli figurowaniu na wystawie.

No, mamy jeszcze lasy—pomyśli niejednen, rozpatrując się w bogactwie leśnym Ordynacji i kombinując ją mimowoli z drożyną opału i budulcu—tak, mamy lasy. Dawniej mawiano: „Znać pana po cholewach.“ Dziś, zdemokratyzowana moda pozornie zrównała chudziaka z panem, ale można znaleźć inny punkt porównania: „Znać pana po lasach.“ Istotnie 250 tysięcy morgów lasu zaszanowanego i urządzonego—to kwalifikacja, jeżeli nie na *pana*, to przynajmniej na bogacza. Że socjalizmem podszyty duch czasu inne warunki łączy z pojęciami pana, o tem pomówimy później, teraz, wabi oczy i ciekawość w pobliżu stojący „Biały domek,“ a za nim odzywa się taki miły dla ucha rolnika koncert rżenia, ryku, kwiku, beczenia.

Folgując ciekawości i ziemiańskiej żylce, dążymy w tę stronę.

Domek, wzniesiony z kamienia białego, obrobionego z kamieniołomów w Kazimierzu nad Wisłą, obramowany około okien i odrzwi cegłą, jest okazem materiału budowlanego, używanego dotychczas niechętnie z obawy wilgoci. Według zapewnień inżyniera Albrychta, wysokie podmurowanie, oddzielone od ścian właściwych warstwą materiału izolacyjnego, jak gudronit, smołowiec i t. d., usuwa obawy wilgoci i wobec drożyzny ce-

gły i budulcu, daje materiał budowlany trwały i na pozór piękny.

Fabryka betonów tegoż pana Albrychta, oprócz chodników i posadzek, rur do kanalizacji, dachówek betonowych, których trwałość na powietrzu możnaby kwestyonować, daje nam rzecz istotnie dobrą i praktyczną w tak zwanych „Studniach opuszczanych.“ Za pomocą odpowiedniego mechanizmu, gotowa cembrowina betonowa zapuszcza się do odpowiedniej głębokości, chroni od zaskórnych dopływów, jest trwałą i stosunkowo niezbyt drogą. Tego rodzaju cembrowania powinnyby znaleźć zastosowanie w małych miastach, gdzie kwestya dobrej wody jest kwestyą zdrowia mieszkańców.

Stoimy nareszcie w dziale miłych czworonogów. Okazów mnóstwo, jedne wspanialsze od drugich. Patrząc na te góry mięsa, z podziwem myślimy, skąd nasi małomiasteczкови dostawcy dobierają takie kombinacje skóry i kości, których za drogie pieniądze dostarczają na stoły mieszkańców, jako mięso. Wszak hodowla bydła kwitnie w kraju, dowodem choćby wystawowe okazy. I mimowoli jakiś duch złośliwy podszeptuje nam podejrzenie, że te wspaniałości wystawowe to tylko płaszcz bogaty, którym pokrywamy obłudnie zgrzebną koszulę nędzy.

Wogóle dział bydła, koni, trzody, nasuwał przeciętnemu „inteligentowi“ smutne myśli. Odczytywał on coraz nowe nazwiska na tablicach, coraz nowe rasy w katalogu, uczył się sposobem pogładowym odróżniać rasę holenderską od Simental, Oldenburską od Szwyc lub Fryzyjskiej; podziwiał sztuki importowe, ale darmo szukał stęsknionem okiem swoich, krajowych okazów, odpornych na klimat, nie zarażonych gruźlicą, odpowiednich warunkom gleby i paszy. Daremne poszukiwania! Na wystawie *krajowej* rasa *krajowa* świeciła... nieobecnością.

Między trzodą to samo: potworne, z zadartymi ryjami Angliki, czerwono-płowe Wantwordy, budziły podziw z krzywdą istotną naszych kłapouchów, które starannie pielęgnowane, dochodzą olbrzymiej wielkości, a dają słoninę trwalszą i więcej topliwą, według zapewnień znawców.

W dziale koni takż. Angielska, arabska, perszerońska, ardeńska, roadster, trakeńska, oldenburska, pełna krew, pół-krew, ćwierć-krew, mimowoli wywoływała na usta nasze polskie „psia krew,“ za zaniedbanie zupełnie dawnej, wytrwałej i dzielnej rasy krajowej, której okazy napotkać jeszcze można w Świętokrzyskiem, od Wąchocka począwszy ku Bodzentynowi.

Nietylko gniew, lecz i wstyd rumieni nam czoło, zniechęcenie obezwładnia. Upośledzamy się własnowolnie, świadomie, wytrwale i solidarnie. Lada Niemiec, Szwajcar, Anglik, chlubi się krajową, swojską rasą, a my, bałwochwalczo czcząc wszystko, co obce, zatracamy bezmyślnie resztki pozostałe z przeszłości, odmiany bydła, swojace ubiory włóścian, które niezadługo tylko w zbiorach etnograficznych uczeni będą oglądali, swojskie motywy ozdobne i budownicze, tak samo, jak rzucamy na pastwę poloru kosmopolitecznego stare zwyczaje i uczciwy obyczaj. Dokąd zajdziemy, idąc dalej tą drogą?



WYSTAWA LUBELSKA ROLNICZO-PRZEMYSŁOWA

Rysował z natury STANISŁAW SAWICZEWSKI

NASZE RYCINY.



Kazimierz Putaski: Pojenie koni. Znakomity mistrz w odtwarzaniu scen z życia żołnierskiego minionej epoki Napoleońskiej wyobraża na reprodukowanym przez nas obrazie chwilę pojenia koni w rzece. Na tle niezwykle poetycznego i nawskroś swojskiego krajobrazu spostrzegamy na pierwszym planie obrazu dwójkę koni: jeden z nich, niosący jeźdźca na sobie, schylił głowę, by się orzeźwić wodą; drugi ma widoczny zamiar pójścia w ślady swego towarzysza. Na dalszym planie obrazu, pod wierzbą, stoi trzeci wierzchowiec, trzymany przez żołnierza, wskazującego coś w dali stojącemu na pierwszym planie oficerowi. Całość odznacza się energicznym i poprawnym rysunkiem i posiada dużo charakteru.

okazy mają się odbyć w miesiącu kwietniu r. p.

Staraniem ks. proboszcza Niewiarowskiego wzniesiona i po uprzednim poświęceniu otwarta została w kościele Narodzenia Najświętszej Maryi Panny (po-Karmelckim), przy ulicy Leszno, kaplica Matki Boskiej. Do kaplicy prowadzą dwa wejścia: jedno urządzone w pobliżu prezbiterium, drugie z cmentarza kościelnego.

Fundator poświęconego w dniu 19 przytułku dla chłopców w Targówku, p. Wacław Mańkowski, mianowany został przez Ojca Świętego hrabią rzymskim.

Urzędowe.

Jak donosi *Warsz. Dniw.*, Główny Naczelnik Kraju, generał adjutant M. L. Czertkow, polecił gubernatorom, aby mu dostarczyli szczegółowych wiadomości o kłęsce nieurodzaju, jaką do-

łym studentom, którzy pełnią obecnie powinność wojskową, jako karę przyznać nanowo prawo odbywania tej powinności, bez zastosowania do nich wyznaczonego im terminu służby w wojsku. 3) W drodze wyjątku od prawa, wszystkim studentom, odbywającym obecnie służbę wojskową jako karę, liczyć termin służby od d. 1-go tego miesiąca, który nastąpił po rozpoczęciu przez nich służby.

Prasa polska.

Chimera. Marzec, 1901. Prócz dalszego ciągu powieści Stanisława Przybyszewskiego p. t.: „Synowie ziemi,“ oraz dramatu Villiersa de L'Isle Adama „Axel,“ spotykamy przekład „Pieśni o starym żeglarzu“ Coleridge'a pióra Kasprowicza, wyczerpujące studium o drzeworycie japońskim Zenona Przesmyckiego, ilustrowane doskonałymi reprodukcjami. Treści numeru dopełniają poezje Ruffera, Komornickiej, kronika miesięczna, „Głosy“ etc. W dodatku artystycznym dołączono dwie reprodukcje litograficzne z dzieł Ou-

nika, Przegląd czasopism, Kuryer księgarski, Bibliografia, oraz nowo wprowadzona rubryka o książkach, znajdujących się pod prasą. Wogóle „Książka“ jest organem, traktującym swoje zadanie poważnie i sumiennie i prowadzonym pod każdym względem wzorowo.— *Wisła*, maj-czerwiec. L. Rutkowski: „Gościcy Papaje w świetle podań szlacheckich.“ Dr. Klemens Bąkowski: „O dawnych zabawach cechowo-krajkowskich.“ Ign. Radliński: „Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie.“ H. Wiercieński: „Przyczynek do osiadłości.“ Ludwik Młynek: „O figurkach z soli.“ Jerzy Ohr: „Przysłowia rabinów.“ Maryan Kucz: „Głaz czartowski.“ Poszukiwania. Sprawozdania i krytyka. Przegląd czasopism. Drobiazgi ludoznawcze.— *Dobra Gospodyni* poświęciła ostatni numer wystawie przemysłowo-rolniczej w Lublinie, ozdobiwszy tekst licznymi ilustracjami.— *Encyklopedyi powszechnej S. Orgelbranda* opuścił prasę zeszyt 189 (tom X), od wyrazu Morszynski do wyrazu Mumme, z 30 rysunkami.— *Gazeta Rolnicza* poświęciła specjalny N-r gubernii Lubelskiej z powodu wystawy w Lublinie. Roztrząsa więc warunki przyrodzone rolnictwa w gub. Lubelskiej, stosunki ekono-



Pawilony etnograficzne na wystawie lubelskiej.



Według zdjętych dla „Tygodnika“ fotografii własnych.

Georges Gardet: Lwy i tygrysy. Do największych, obok Rodina, Bartholomégo i Charpentier'a współczesnych rzeźbiarzy francuskich, należy bez wątpienia Georges Gardet, różniący się tem tylko od powyżej wymienionych mistrzów, że tematy do swych utworów bierze przeważnie ze świata zwierzęcego. Po odebraniu odpowiedniego wykształcenia artystycznego pod kierunkiem Frémot'a, Gardet zyskał sławę dość prędko. Jedno z arcydzieł jego dłota p. t.: „Pantery walczące,“ było zakupione przez rząd francuski dla Muzeum Luksemburskiego. Zamieszczono w numerze dzisiejszym dwie reprodukcje z rzeźb Gardet'a wyobrażają parę lwów oraz parę tygrysów. Rzeźby te, przeznaczone do galerii pałacu de Vaux, budzily na ostatniej międzynarodowej wystawie sztuki w Dreźnie olbrzymi i zasłużony podziw znawców, na który zasługują bez zaprzeczenia ze względu na brak wszelkiego konwencyonalizmu w traktowaniu modelowanych zwierząt.

tknięte są niektóre gubernie, a skutkiem której może się okazać brak słomy. Do rozpatrzenia rzezonej sprawy polecono jednocześnie gubernatorom powołać miejscowe Towarzystwa Rolnicze.

„Agencja Rosyjska“ donosi, że pracująca pod przewodnictwem Ministra oświaty specjalna komisja dla reorganizacji szkół średnich uchwaliła pozwoleń posiadającym patenty z ukończenia szkół realnych uczęszczać na wydział lekarski po złożeniu egzaminu ze znajomości języka łacińskiego w zakresie czteroklasowym. Reformę tę postanowiono wprowadzić sposobem próby na lat pięć.

Ogłoszony został Rozkaz Najwyższy, który brzmi jak następuje: „Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan w niewysłowionej Swojej łaskawości i w pełnem miłości pobłażaniu dla porywów młodzieży szkolnej, dnia 5-go czerwca 1901 r. Najwyżej rozkazał raczył: 1) Studentów uniwersytetów Cesarskich, wydalonych z rzezonych zakładów za udział w rozruchach i pełniących obecnie powinność wojskową, jako karę, a którym z uwagi na położenie rodzinne służy ulga pierwszego stopnia, lub którzy posiadają wady cielesne, czyniące ich niezdolnymi do służby frontowej—niezwłocznie uwolnić od służby obowiązkowej. 2) Wszystkim pozosta-

tamara („Kobieta z lusterkiem“) i Kuniyoshi'ego („Gra o stawkę“).— *Poradnik językowy* Nr. 6. Dr. Nitsch: „Szyk wyrazów w języku polskim,“ Zapytania i odpowiedzi (Z głosowni, ze słowotworu, ze znaczeni, z odmiany, ze składni, germanizmy, rusycyzmy).— *Książka.* W słowie wstępnem p. Massonius podnosi kwestję biblioteki publicznej, która zawierałaby dzieła naukowe techniczne i t. p., oraz czasopisma specjalne. Za punkt wyjścia do ułożenia katalogu proponuje autor obrać wskazówki, zawarte w „Poradniku dla samouków.“ W dziale krytycznym spotykamy cały szereg recenzji, pisanych w tonie przedmiotowym i informujących doskonale czytelnika o wartości książek. Na wyróżnienie zasługują recenzje pp.: Massoniusa o „Poglądzie na rodzaje zjawisk w materialnym wszechświecie“ Wł. Natansona; Steckiego o „Filozofii pierwotnej“ Witorita; W. Jezierskiego o „Ziem i człowieka“ Nałkowskiego; Peszkego o „Szkole głównej“ Bartkiewicza; Kochanowskiego o „Gallusie“ Gumplowicza; Wł. Jabłonowskiego o „Warszawie“ M. Gawalewicz i t. d. Treści zeszytu dopełniają: Polemika, Nekrologia, Kro-

miczno-rolnicze, rozwój rolnictwa, leśnictwo, hodowlę koni i bydła, rozwój gospodarstw stawowych i t. p.

Osobiste.

Henryk Sienkiewicz bawi od kilku tygodni w Warszawie.—Bolesław Prus wyjechał do Nałęczowa.—Kazimierz Tetmajer udał się po półrocznym pobycie w Warszawie za granicę.—Tłomacz Sienkiewicza na język francuski, p. B. Kozakiewicz, przyjechał do Warszawy.—Współredaktor naszego *Tygodnika*, Ignacy Matuszewski, wyjechał na wypoczynek letni do Polagi.

Literatura.

Kazimierz Tetmajer napisał studium o Stanisławie Wyspiańskim, którego druk rozpocznie niebawem nasz *Tygodnik*.

Ofiara.

P. Kazimierz Kaszewski w celu uczczenia pamięci zmarłej swej żony, s. p. Miłosławy Kaszewskiej, b. opiekunki przytułku św. Józefa, ofiarował warsz. Tow. Dobr. 600 rub. w 4 i pół proc. listach zastawnych, pod warunkiem, aby odsetki od tego kapitału, w rocznicę śmierci s. p. Kaszewskiej, były wydawane tytułem wsparć wychowa-



KRONIKA POWSZECHNA.



Kronika kościelna.

Ze względu na przypadający w 1901 jubileusz pontyfikalny Ojca Świętego Leona XIII, zawiązany został w Rzymie komitet w celu uczczenia dwudziestopięcioletnich rządów Jego Świętebliwości. Główne uroczystości z tej

com. Kandydatów do powyższych wsparć przedstawiać ma wydział przytułków Towarzystwa.

Sztuka.

W Wiedniu otwarto nowe muzeum antyków, utworzone z wykopalisk, znalezionych przez austriacką wyprawę archeologiczną od r. 1896 na terytorium dawnego Efezu. Muzeum znajduje się w świątyni Tezeusza, w Volksgartenie, gdzie poprzednio stał Canovy Tezeusz, walczący z centaurami. Najwybitniejszym okazem zbiorów jest posąg brązowy atlety, arcydzieło sztuki atyckiej z połowy IV wieku. Nadto zbiory zawierają przepyszne głowy i popiersia, oraz posąg cesarza Marka Aureliusza.

Czasopismo *Oester. Illustr. Ztnng.* zamieściło kopię obrazu Józefa Brandta p. t.: „Odpoczynek w lesie,” wychodząca zaś w Zagrzebiu *Prosvjeta*—kopię obrazu Henryka Rodakowskiego p. t.: „Zygmunt II, król polski.”

Nauka.

Dr. Schrön, Niemiec rodem, profesor uniwersyt. w Neapolu, prowadzi specjalne badania nad życiem kryształów. Usiłuje on dowieść, że kryształy są ustrojami, zaopatrzonymi w nerwy, kręgosłup, szkielet, że podlegają chorobom, że nawet staczają walkę o byt. Uczony niemiecki wygłosił o tej paradoksalnie brzmiącej teorii kilka odczytów, które niebawem ukażą się w druku.

Świat kobiecy.

W Zurychu powstał szpital dla kobiet i dzieci, którego lekarzem naczelnym jest kobieta; kobiety również sprawują obowiązki lekarzy ordynujących. Przy szpitalu urządzono też szkołę dla pielęgniarek. — Syndykem miasta Palmiry w Montanie obrano pannę Maryę Andersonównę, pomimo bardzo młodego wieku, skończyła bowiem dopiero lat 23. Mając lat 18, wstąpiła na uniwersytet, gdzie studyowała prawo i w r. 1899 została adwokatką. Panna Andersonówna jest nadto niezwykle uzdolnioną mówczynią polityczną i brała żywy udział w politycznej kampanii wyborczej w r. z.

W uniwersytetach japońskich kobiety są dopuszczane na wydziały politechniczne, gdzie kształcą się na inżynierów. — W Foo Chow w Chinach, naczelnym lekarzem szpitala została p. Hu-King-Eng, Chinka, która odbywała studia lekarskie w Ameryce i tam zdobyła dyplom doktorski.

Muzyka.

„Manru“ Paderewskiego nabył dyrektor Opery praskiej, p. Angelo Neumann; dzieło naszego rodaka będzie wystawione w Pradze w jesieni r. b. — Mascagni pracuje obecnie nad nową operą, do której libreta dostarczyła mu sztuka Wiktoryna Sardou p. t.: „Nienawiść.”

Popis szkoły dramatycznej.

W dnia 20 i 21-y m. b. m. odbył się w salach reutowych w Warszawie popis szkoły dramatycznej. Zarówno program popisu, jak i liczba biorących w nim udział kandydatów do sceny przedstawiały się imponująco. Odegrano rozmaite ustępy z „Miłostki,” „Romantycznych,” „Uryela Acosty,” „Niewiernej,” „Ciekawości,” „Pana Damazego,” „Majstra i czeladnika,” „Broni niewieściej,” „Balladyny,” „Walki motyli“ i t. d. Gra popisujących się pań i panów sprawiła ogólnie wrażenie dość korzystne. Jak wiadomo, szkołą dramatyczną kieruje obecnie pan W. Piątkowski, adw. przys., przy współdziałaniu pp. prezesa Tow. J. A. Święcickiego, Żelazowskiego, Frenkla i Szymanowskiego.

Teatr.

Na scenie teatru „Svenska“ w Sztokholmie wystawiono po raz pierwszy nową sztukę Strindberga p. t. „Lato,” której autor nadał określenie „poważnej komedii ludowej.” Treścią sztuki jest kontrast etyczny między wykształceniem dawnym a nowoczesnym, współ-

zawodnictwem między tradycją klasycystyczną-akademicką a nowoczesnym, dążącym do mieszczańskości praktyczności pojmowaniem życia. Bohaterem głównym komedii jest student, syn ogrodnika, który, dzięki wysokiej protekcji, zyskuje możliwość kształcenia się na uniwersytecie w kraju rodzinnym i dopełnienia wiedzy swojej we wszechnicach zagranicznych. Ale zamiast rozszerzyć widnokrąg swoich zapatrywań społecznych i nabrać praktycznego doświadczenia życiowego, ów syn ogrodnika przywozi, jako główny wynik studyów za granicą, bezgraniczne przecenianie zdobytego wykształcenia. Tymczasem przez sześć lat jego nieobecności zmieniło się wszystko do gruntu w ojczyźnie, egzaminy akademickie wymagane są od każdego obywatela, wykształcenie akademickie nie jest już celem ostatecznym, lecz konieczną podstawą działalności społecznej. Przybysz przekonywa się niebawem, że lekceważyć otoczenia swego już nie może, że przeciwnie, on sam staje się lekceważonym przez tych, których, powróciwszy do ojczyzny, uważał za „filistrów.” Publiczność i krytyka przyjęła nową sztukę głośnego pisarza z uznaniem.

„Wianki.”

Dnia 23 b. m. odbyła się w Warszawie staraniem tutejszego Towarzystwa Wioślarskiego, wobec tłumów publiczności, doroczna i tradycją wieków uświęcona uroczystość „Wianków.” Pomimo pojedynczego w tym roku wystąpienia Wyszcz. Tow. Wioślarskiego, gdyż zaprzyjaźnione Towarzystwa udziału nie brały, obchód uroczystości udał się wybornie.



Bandrowski w roli „Manru.”

Wedł. fot. D. Mazura we Lwowie.

Nowe pocztówki.

W Lublinie wyszła z okazji wystawy, nakładem firmy tamtejszej W. Kieselettera, serya pocztówek, wyobrażających typy z Lublina i okolic. Wydawnictwo staranne, litografowane według rysunków K. Rayskiego.

Lwowska firma S. W. Niemojowskiego wydała serię pięknych kart pocztowych, ozdobionych wizerunkami Paderewskiego, oraz scen z „Manru,” według fotografii D. Mazura ze Lwo-

Polityka.

Kronika polityczna za zeszły tydzień jest dość uboga w fakty donioślejszego znaczenia. Jedyne ważniejsze zdarzenie to uchwalenie przez senat francuski ustawy o stowarzyszeniach i kongregacjach, dającej państwu w ręce prawo kontroli, o które gabinet Waldeck-Rousseau dopominał się w interesie „obrony rzeczypospolitej.” Gabinet, przeprowadzający tę ustawę przez parlament, dał nowy dowód swej siły. — W Rzymie skończono rozprawę budżetową w izbie deputowanych udzieleniem wotum zaufania gabinetowi Zanardello. W ciągu dyskusji rozprawiano dużo o trójprzymierzu. Ostatecznie przyjęto wywody ministra spraw zagranicznych, uzasadniające ten sojusz, ale pokazało się, że w politycznych sferach włoskich ma on bardzo słabych zwolenników. — Cesarz Franciszek-Józef wrócił do Wiednia po tryumfalnej podróży do Czech, a razem z tym powrotem przebrzmiały i hasła pojednania. Czesi i Niemcy w dalszym ciągu nieufnie patrzą na siebie. — Z międzynarodowych kwestii znajduje się na porządku dziennym sprawa marokańska. W zatargu z Francją sułtan Maroka dał pewne zadostojczenie, a republika oznajmiła, że nie myśli sięgać po jego kraje. Słów tych jednak nie chcą dać za szczerą prawdę. W każdym razie faktem jest, że — jak to stwierdza rząd angielski w parlamencie — pomiędzy mocarstwami toczą się układy w przedmiocie ich stosunku do Maroka, a są — wedle słów ministra — tak drażliwe, iż do publicznego traktowania wcale się nie kwalifikują.

Jubileusz pułku.

We Lwowie odbyły się w zeszłym tygodniu uroczystości z okazji 200-letniego jubileuszu 15-go pułku austr.-węgier. piechoty. Między innymi przedstawiono szereg żywych obrazów z dziejów pułku, a w szczególności obraz zdołania przez pułk w r. 1779 twierdzy pruskiej Habelschwerdt, przyczem żołnierze Polacy pierwsi przeskoczyli pruskie palisady.

Żłobki w Poznaniu.

Od roku 1894 istnieje w Poznaniu bardzo pożyteczna instytucja żłobków, w których pielęgnują się niemowlęta ubogich kobiet, zmuszonych chodzić do roboty po za domem i nie mogących skutkiem tego dać należytej opieki swoim noworodkom. Są w Poznaniu trzy takie żłobki: tak zwany chwalszewski, farny i jeżycki. Według sprawozdania zarządu tego Towarzystwa, pielęgnowano w ostatnim roku sprawozdawczym, od 1 kwietnia r. z. do 31 marca r. b., w żłobku chwalszewskim 3,125, w farnym 1,258, w jeżyckim około 1,000. Matki noszą swe dzieci do żłobka rano, gdy idą na robotę, i odbierają je, gdy z niej wracają. Jeżeli mogą, płacą 10 fen. dziennie za utrzymanie i pielęgnowanie dziecka. Porządek w żłobkach

odpowiada wszelkim wymaganiom higieny. Inicytorem i głównym kierownikiem tej humanitarnej instytucji jest radca zdrowia dr. Zielewicz. Część dochodów jej płynie ze sprzedaży różnego rodzaju odpadków, o które kwestuje się w mieście, czem się też tłumaczy oryginalna nazwa tego Towarzystwa: Bractwo kwestarskie.

Hygiena.

Rada Towarzystwa Hygienicznego przesłała w końcu ubiegłego miesiąca redakcyom pism miejscowych kwestyonaryusz dla badania miejscowości letnich i zdrojowisk, ułożony przez dra J. Zawadzkiego. Kwestyonaryusz ten można otrzymać bezpłatnie na żądanie w kancelatyi Towarzystwa Hygienicznego w gmachu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (Krakowskie-Przedmieście, Nr 66).

Sport.

Wyścig samochodów odbył się na przestrzeni Paryż-Bordeaux. Zwycięstwo odniósł p. Henryk Fournier, który przebył 555 1/2 kmtr. w ciągu 8 godzin 44 1/2 min, czyli średnio 64 kmtr. na godzinę. Jeżeli jednak odejmiemy czas, spędzony na różnych przystankach, okaże się, że p. Fournier jechał przez 6 godzin 11 1/2 minut, czyli średnio przebywał po 85 kmtr. na godzinę; jest to szybkość znacznie większa niż pociągu „Süd-Express.”

Zmarli.

Tomasz Wentworth hr. Łubieński, syn ś. p. Henryka hr. Łubieńskiego, zmarł dnia 21 czerwca w Warszawie, przeżywszy lat 80. Zwłoki pochowano w grobach rodzinnych w Wiskitkach.

Tadeusz Chelmiński, urzędnik Tow. Kred. m. Warszawy, zmarł d. 18 b. m. w Warszawie, przeżywszy lat 48.

Krzyszyna ze Zwiesłów Blunck, wdowa po obywatelu m. Warszawy, zmarła w Warszawie w wieku lat 77.

Mikołaj Friedmann, były nauczyciel szkół rządowych i prywatnych, zmarł w Warszawie d. 19 b. m., przeżywszy lat 60.

Floryan Cybulski, regent, zmarł w Uniejowie, w gub. Kaliskiej, w wieku lat 85.

Bronisław Grodziński, syn prezesa Dyrekcji Szczegółowej Tow. Kredyt. Ziemińskiego w Radomiu, zmarł w Czarnikach, w gub. Podolskiej, przeżywszy lat 45.

Józef Bilski, pomocnik naczelnika archiwum b. sekretaryatu stanu Królestwa Polskiego, zmarł w Petersburgu.

Jan hr. Tyszkiewicz, ordynat birzański, zmarł w Paryżu w dniu 9 b. m. przeżywszy lat 41. Zmarły był synem ś. p. Michała Tyszkiewicza, powaźnego archeologa, po którym odziedziczył wielkie zamiłowanie i duże znanstwo archeologii i sztuki. Biblioteka, którą pozostawił w pięknym swym pałacu wileńskim, liczy około 8,000 tomów, wśród których znajdują się dzieła niezwykłej rzadkości. Ś. p. hr. T. posiadał prócz tego setki bardzo ważnych rękopisów, piękną galerię portretów dawnych, zbiór zbroi krajowych, oraz rzadkie gobeliny. Niedawno wydał opracowaną starannie i źródłowo przez p. E. M. genealogię domu Tyszkiewiczów. Ś. p. hr. Jan ożeniony był z Klementyną hr. Potocką, córką hr. Alfreda, b. namiestnika Galicji. Pozostawił dwóch synów: Jerzego i Alfreda, oraz córkę Klementynę.

Józef Hojnowicz, obywatel gub. Wileńskiej, długoletni urzędnik kolei Libawo-Romeńskiej, a ostatnio zawiadowca stacyi Kiena, zmarł w d. 6 maja r. b., w wieku lat 62.

Eduard Szturm de Sztrem, rz. rad. st., zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 63.

Severyna z Pstrokońskich Tymowska, żona obywatela ziemskiego, zmarła w Warszawie d. 12 b. m., w wieku lat 66.

Sir Walter Besant, znany powieściopisarz angielski, zmarł, przeżywszy lat 65. Urodzony d. 14 sierpnia r. 1836 w Portsmouth, uczęszczał na uniwersytet w Cambridge i pierwszy rozgłoszyszykował pracami krytycznymi, między innymi o humorystach francuskich, a zwłaszcza o Rabelais. Wkrótce potem zaczął się też chlubić w dziedzinie literatury beletrystycznej i stopniowo zajął miejsce między najwybitniejszymi współczesnymi powieściopisarzami angielskimi. Besant posiadał wielką znajomość trybu życia, zwyczajów i obyczajów niższych warstw ludności, których obraz, z niepospolitą umiejętnością skreślony, znajduje się w licznych jego utworach, a zwłaszcza w humorystycznych. Część powieści, przeważnie treści społecznej, napisał Besant wspólnie z Jackiem Rice'm.

Robert Buchanan, poeta angielski, zmarł w 60-tym roku życia. Syn człowieka niezwykłego, misjonarza, socjalisty i dziennikarza zarazem, urodził się Buchanan d. 18 sierpnia r. 1841. w Caverswall, w hrabstwie Stafford i studia odbył w uniwersytecie w Glasgowie. Pierwsze utwory poetyckie, liryczne, wydał mając lat 22, i te od razu zwróciły na niego uwagę. Następnie tworzył dzieła epickie i dramatyczne, pisywał krytyki, a z tych prac o Swinburnie i Rossettim p. t. „The fleshly school of poetry,” ostrą i jednostronną, narobiła mu wielu nieprzyjaciół i wywołała długą polemikę. Z utworów poetyckich Buchanana za najlepsze są uważane: „London poems” i „Land of Lorne.”

Hans Sandreuter, malarz szwajcarski, zmarł w Bazylei, w 50-tym roku życia. Studia artystyczne odbywał w Neapolu, Monachium, a w końcu we Florencji, gdzie był uczniem Arnolda Böcklina. Powróciwszy do ojczyzny, Sandreuter poświęcił się głównie malarstwu pejzażowemu, oraz dekoracyjnemu. Najlepszymi pracami jego są dekoracje w sali cechu kowalskiego w Bazylei, mozaiki w Muzeum narodowym w Zurychu, oraz obrazy w Muzeum w Bernie i Bazylei.

Zmarł w Jaksicach na Kujawach ks. dr. Warmiński, proboszcz najlepiej udotowanej parafii w Księżstwie, bo przynoszącej przeszło 20,000 mr. rocznego dochodu, a liczącej tylko około 300 dusz. Probostwo to jest prezenty rządowej, i rząd też udziela prezenty na nią takim księżom katolickim, dla których ma powód być wdzięcznym. Do takich należał też zmarły ks. Warmiński, który, aczkolwiek pochodził z dobrej polskiej rodziny, czuł się Prusakim i ze społeczeństwem swoim luźny tylko utrzymywał stosunek. Podczas walki kulturalnej zajmował zupełnie świeckie stanowisko dyrektora seminarium nauczycielskiego w Paradyżu i takie sobie na tem stanowisku zaszkodził łaski rządu, że mu dał prezentę na tłustą prebendę Jaksicką. Dla przypodobania się rządowi i Niemcom nie wahał się nawet głosować jako ksiądz katolicki na ewangelicko-niemieckiego kandydatów na członków miejscowego katolickiego dozoru szkolnego, a gdy go w zeszłym roku pismo gnieźnieńskie *Lech* o to zaczepiło, nie wstydział się napędzić prokuratora pruskiego na redaktora pisma i miał „satisfakcję,” że uzyskał na niego karę 3-miesięcznego więzienia. Także we wszystkich festynach pruskich brał udział, niemniej należał do składającego się z samych prawie polakożerców, urzędników-karyerowiczów niemieckiego Towarzystwa historycznego.

Bank związku Spółek zarobkowych w Poznaniu.

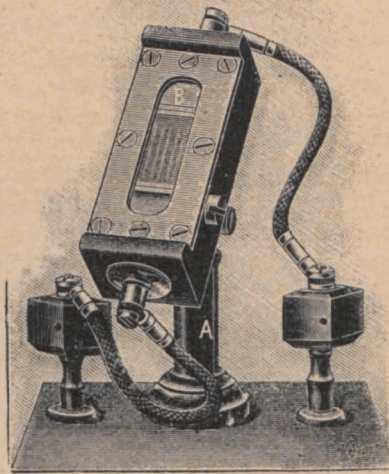
Odbyło się w ubiegłym tygodniu walne zebranie i uchwalono 6% dywidendy dla swoich akcjonariuszów. Do jakich poważnych rozmiarów doprowadziła ta niestara jeszcze instytu-

cja finansowa, świadczy o tem wymownie fakt, że ogólny jej obrót wynosił w ubiegłym roku 134 miliony marek. Instytucję tę stworzył i od samego początku kieruje nią dr. Józef Kusztelan, tęga głowa finansowa. Prezesem jej rady nadzorczej jest poseł Stefan Cegielski, a kuratorem patron Spółek zarobkowych w Księżstwie i Zachodnich Prusiech ks. prałat Wawrzyniak. Jest ona centralnym bankiem dla wspomnianych Spółek, które wszystkie są w niej zakredytowane, i którym ma obowiązek dostarczać możliwie taniego kredytu. Dla większego jeszcze rozszerzenia swej działalności wydał Bank nową emisję swoich akcji, których większość Spółki rozebrały między siebie. Bank posiada własny wspaniały gmach przy ulicy Wilhelmowskiej.

Telegraf bez drutu.

Po zjawieniu się pierwszych aparatów telegrafu bez drutu, zrodziła się kwestya, czy system ten da się zastosować do celów praktycznych, a mianowicie: czy sygnalizacja na dalszą przestrzeń za pomocą nowego aparatu będzie możliwa? Warunek ten jest bardzo ważny w razie zastosowania telegrafu bez drutu w marynarce, gdzie bez wątpliwości system ten powinien oddać największe usługi. Nad rozwiązaniem tej kwestyi pracowało od dłuższego czasu grono rzeczoznawców, do których zaliczają się pp.: M. A. Popow, Rybkin i Troicki, oficerowie inżynierii rosyjskiej. Dla robienia doświadczeń wybrali ci panowie dwie wyspki, leżące w pobliżu Kronsztadu. Gdy po pewnym czasie aparaty przyjmujące przestały funkcjonować, wpadł p. Popow na pomysł wprowadzenia telefonu pomiędzy „radiokonduktorem” a element, aby sprawdzić przejście prądu, i ze zdumieniem zauważył, że słycać było dokładnie sygnały aparatu wysyłającego. Fakt ten naprowadził p. Popowa na myśl, że fale elektryczne wywołują w radiokonduktorze pewne zmiany napięciowe, dające się dostrzegać za pomocą telefonu—i że

nie pomiędzy nim a elementem, oraz telefonem. Dzięki ruchomemu kolanku, a a którym radiokonduktor spoczywa, można nachylić przyrząd pod takim kątem, pod jakim okazuje się być najwrażliwszym. Przy pomocy czopka (D) i giętkiego łącznika drucianego, tworzy się połączenie pomiędzy aparatem a uprzednio urządzonym masztem, służącym do zbierania elektryczności; drugi taki sam łącznik, wychodzący ze śrubki (E) zapuszcza się w ziemię. Następnie, za pomocą małego komu-

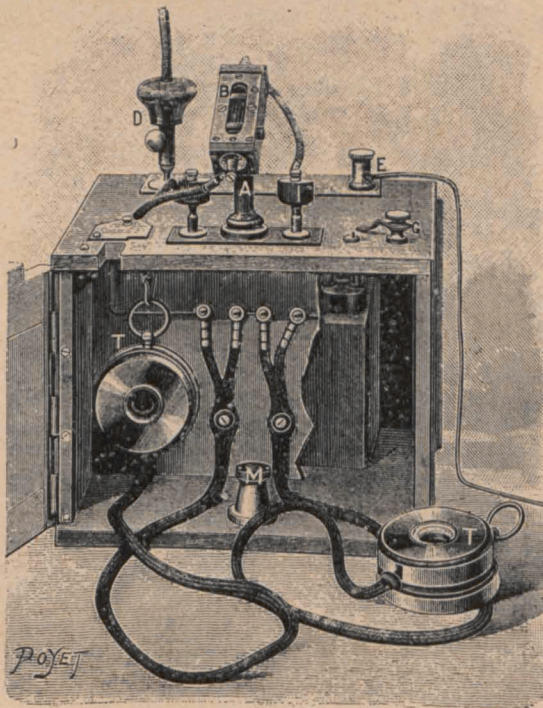


Radiokonduktor.

tatora, naprowadza się prąd miejscowego elementu na radiokonduktor i telefonu—i przykłada słuchawki do uszu. Z chwilą, gdy przeciwny aparat (wysyłający) poczyna działać, słyszy się wyraźne szmery, raz przeciągłe, to znów krótkie, które odpowiadają systemowi alfabetu Morse'a. Przyrząd ten, co prawda, nie ma na celu usunięcia aparatów, będących dziś w użyciu i notujących przyjmowane depesze według systemu Morse'a, ale może oddać wielkie usługi jako przyrząd zapasowy i pomocniczy, oraz w tych wypadkach, gdzie urządzenie komunikacji telegraficznej wymaga pośpiechu.

Wenta w Antoninie.

W Antoninie pod Ostrowem, majątku księcia Ferdynanda Radziwiłła, odbyła się ubiegłej niedzieli dorocznie tam urządzana wenta na rzecz katolickiego domu s erot w Ostrowie. Mnóstwo mieszkańców tego miasta i obywatelstwa okolicznego pojechało do Antonina, aby się tam zabawić w cieniu starożytnych drzew parku tamtejszego i pokrzepić zapasami bufetowymi, sprzedawanymi przez znaną księżną i sympatyczną księżniczkę. Nawet tę niewinną zabawę, na cel dobroczynny urządzoną, zadunicyowała prasa hakatystyczna jako demonstrację polityczną, którą ksiądz Radziwiłł chciał jako by urządzić celem zapro-



Aparat telegraficzny Popow-Ducretet'a.

testowania przeciw festynowi niemieckiemu, który w przyszłą niedzielę odbędzie się z poręki hakatystów w Jarocinie. Przez denuncjację tę chciała ta prasa źle usposobić cesarza dla księcia Ferdynanda Radziwiłła, jak wiadomo, skuzynowanego z domem Hohenzollernów, co jednak nie przeszkadza, że on czuje się Polakiem i jest prezesem Koła polskiego w parlamencie niemieckim.

Humor i satyra.

W każdym z nas jest kilku ludzi, dlatego też tak trudno odnaleźć w nas człowieka.

Należy być wyrozumiałym dla pomylki, pobłażliwym dla głupoty, bez litości dla kłamstwa.

W kampaniach politycznych sprzymierzeńcy są zazwyczaj niebezpieczniejsi od wrogów.

Roztargniony.

Profesor przed wystawą parasolnika: „Hm, hm, co tu parasolów!... a więc i inni ludzie zostawiają swoje parasole...”

Zachęcający przykład.

Fabrykant margaryny: „Tam do licha, otrzymuję tyle listów z wyrazami uznania za moje sztuczne masło, że muszę go przecież raz skosztować!”

Rada lekarza.

— Kochany panie, jak powiedziałem: albo pan jedź na pół roku na wieś, albo wyślij pan żonę.

Kobieta powinna być taka ładna, żeby nikt nie mógł pomyśleć nawet o jej głupocie, lub taka zręczna, żeby nikt nie dostrzegł jej brzydoty.

W piwiarni.

— Czy to nie pan nazwałś mnie tutaj wczoraj wieczorem impertyn-tem?

— Żałuję bardzo: niestety, nie!

Niechaj nikt nie wymaga od kobiet szczerości, dopóki wychowywane są w mniemaniu, że najwyższym celem ich życia jest—podoać się.

Ludzie, którzy nie mają nigdy czasu, sprzedają swoje życie, lecz go nie używają.

OD REDAKCYI.

Każdy prenumerator „Tygodnika ilustrowanego” w r. 1901 otrzyma bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów

Przy niniejszym numerze *Tygodnika* dołącza się dla wszystkich prenumeratorów tom XXX pism H. SIENKIEWICZA, zawierający

„Quo Vadis”

(część pierwsza).

Na oprawę 12-tu tomów SIENKIEWICZA w roku bieżącym dołączyć należy rubli 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rub. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika ilustrowanego” rubli 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50 (1 zhr. 90 ct., z przesyłką 2 zhr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na poprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, abyśmy odpowiednią liczbę popraw przygotować mogli.

Nowo przybywający prenumeratorowie mogą nabywać komplet 24 tomów dzieł Sienkiewicza, wydanych dotychczas, za rub. 10 (26 koron), w oprawie za rub. 14 (35 kor. 60 hal.). Przesyłka pocztowa 12 tomów — kop. 80, 24 tomów — rub. 1 kop. 60.

NOWE KSIĄŻKI.



Najdawniejszy widok Lublina, wyjęty z dzieła Jerzego Brauna z r. 1618. Wydał i objaśnił Hieronim Łopaciński. Nakład Henryka Krausseggo w Lublinie. Warszawa, 1901.—W r. 1618 wyszło w Kolonii dzieło Brauna p. t.: „Theatrum praecipuarum totius mundi urbium.“ Znajduje się tam kilkanaście widoków miast polskich w miedziorytach, a między nimi i Lublina. Jest to najdawniejszy ze znanych widoków tego miasta, ozdobiony herbem państwa i samego Lublina, oraz tabliczką tytułową, która brzmi w przekładzie z łaciny: „Widok m. Lublina w Król. Polskiem, sławnego na całym świecie trzy razy na rok odbywającymi się jarmarkami.“ Nad i pod rysunkiem są podane nazwy pojedynczych części miasta, jak kościołów, budynków, zakładów; na odwrotnej zaś stronie oryginału znajduje się (po łacinie) opis Lublina. Otóż prof. Łopaciński, który jest nie tylko wybitnym badaczem staropolszczyzny i folklorystą, lecz i gruntownym znawcą przeszłości Lublina, przy podobieństwie, wiernie wykonanej w zakładzie B. Wierzbickiego, podał owe napisy i opis w przekładzie polskim, oraz uzupełnił je wiadomościami z innych autentycznych źródeł. Na rysunku Brauna widzimy wiele gmachów, obecnie wcale nie istniejących, lub w zupełnie innej postaci, np. kościół św. Krzyża, budynek wodociągów i kanałów „ciszący wodę do góry,“ wieżę „sztucznie rozprządzającą wodę w mieście,“ dawny pałac Sobieskich, szpital (z r. 1342), kościół św. Michała, kościół św. Wojciecha ze szpitalem św. Łazarza (z r. 1611), most, łączący miasto z zamkiem, papiernię (obecnie młyn braci Kraussów). Z opisu Lublina, w dziele Brauna umieszczonego, a więc z początku wieku XVII, przepisujemy tu kilka zdań w przekładzie prof. Łopacińskiego: „Pomiędzy najznakomitszymi miastami Król. Polskiego Lublin zajmuje najbliższe prawie miejsce po pierwszym z nich, ustępując znaczeniem i wielkością niektórym tylko, pod względem zaś piękności położenia, wspaniałości budowli, oraz silnej twierdzy, nie stoi niżej od żadnego... Samo miasto jest ozdobione w zadziwiający sposób przepyszniemi budowlami publicznymi i prywatnymi...“ Na jarmarki „zjeżdżają się zwykle z najdalszych stron świata różne narody: Niemcy, Grecy, Ormianie, Arabowie, mieszkańcy Moskwy, Scytowie (to znaczy: Tatarzy), nawet Francuzi, Włosi i Anglicy... Cóż powiedzieć mamy o domach prywatnych? Niektóre z nich, szczególnie znajdujące się w wyższej części miasta, okazują niezwykłą piękność i przepych... Miasto to kwitnie przed innymi, i nie brak tu niczego, co służy bądź do użytku zwykłego i potrzeb życia, bądź nawet do uciechy i okazałości.“ Wydawnictwo podobizny tego widoku ukazało się bardzo w porę ze względu na wystawy, które obecnie odbywają się w Lublinie i ściągają licznych gości; mogą oni sprawdzić na miejscu wiele szczegółów dawnej ryciny i opisu. Wydawnictwo to powinno też zachęcić do reprodukcji widoków innych miast polskich z dzieła Brauna, jak Warszawa, Sandomierz; Łowicz, Zamość i t. d. L. S. K.

H. St. Pyłliński: *Koledzy*.—Jest to powieść osnuta na tle życia studentów, które autor podpatrzył i odtworzył sumiennie. Główny bohater powieści, Łęski, student-poeta, ożywiony uczuciami nawskroś altruistycznymi, nakreślony nieco blade. Bardzo sympatyczne wrażenie sprawia na czytelników niejaki Korzec, serdeczny przyjaciel Łęskiego, natura prosta i szorstka, ale zarazem dzielna i uczciwa. Przeciwnego natomiast uczucia doznajemy przy poznaniu się z Halickim, „poetą z urzędu,“ karyerowiczem i plagiatorem bez ta-

lentu, nie przebijającym w środkach dojścia do celu, młodym, ale zepsutym do szpiku kości. Do najdatniejszych ustępów powieści zaliczyć należy: opis nabożeństwa w kościółku wiejskim, tudzież te miejsca, w których autor puszcza wodze swej fantazyi i odzwierciedla nam wrażenia, jakie wywiera na nim przyroda. Wzmiankowane opisy świadczą o niewątpliwym i, jak nam się zdaje, o wiele większym poetyckim niż powieściopisarskim talencie autora. Duże wrażenie sprawiają ostatnie słowa utworu, zakończonego niezmiernie artystycznym niedopowiedzeniem. o

Bohovityn: *Słoneczniki*. Powieść. Warszawa i Kraków. 1901, str. 474.—Ton społeczno-kaznodziejski przeważa w tym utworze; wszystkie osoby z powagą i namaszczeniem prawią *pro* i *contra* o kwestjach kastowych, o wyzwoleniu kobiety i t. d., a wszystko sprowadza się do rezultatów bardzo mizernych: jedna z panien postępowych, hrabianka, z małym powodzeniem kocha się w młodym prawniku, z pochodzenia szlachcicem zaściankowym, bo przy końcu powieści okazuje się, że ten pan oddawna już ma żonę—w szpitalu obłąkanych; druga również z małym powodzeniem zakłada aptekę kobiecą w małym miasteczku. Te panny autorka nazywa słonecznikami, bo zwracają się jakoby ku słońcu; w porównaniu zaś z nimi wszyscy inni, z wyjątkiem kilku dodatnich postaci męskich, cały natłok figur, ze sfery arystokratycznej przeważnie, wszystko to głupie, płytkie, podłe, ničemne, śmieszne, zacofane, wynaturzone. W zasadzie tendencja powieści jest szlachetna, autor broni ideałów dodatnich, szkoda tylko, że wszystkie kwestye traktowane są naiwnie i że postaciom brak pogłębienia psychologicznego. Język powieści nie jest wolny od zarzutów. Przytoczymy kilka bardziej rażących błędów: „pilować o pieniądze“ (świeży to nibytek gwary warszawskiej, którego do języka literackiego wprowadzać nie należy), „godziny *wegetowane*“ (wegetować nie jest słowem czynnym), „papinecik,“ „emablować“ (piękny to sprzącik do panteonu języka!). Przytoczymy jeszcze taki zwrot: „Proces o las, który przybiera coraz groźniejsze rozmiary;“ nie rozumiemy, w jaki sposób rozrost lasu mógłby być dla kogobądź groźny. g

Czech Emerich: *Polsko-czeski słownik*. Praga, 1900.—Jest to młodzi słowniczek na 130-u stronicach małego formatu, z podziałem stronic na dwie szpalty; objaśnienia wyrazów są bardzo krótkie, najczęściej tylko jeden wiersz szpaltowy zajmujące. Pomimo to może on oddać rzeczywistą przysługę Polakom, chcącym, np. w Pradze czeskiej, choć jako tako porozumieć się z Czechami w ich własnym języku. Są też we wstępie wskazówki, dotyczące wymawiania czeskiego dla Polaków, a polskiego dla Czechów. Niektóre objaśnienia co do wymawiania polskiego są błędne, tak np.: *é* nie wymawia się jak *cz*, a *kie*, *gie*, jak *ke*, *ge*; *ro c i dz* po polsku zarówno *i*, jak *y* może się znajdować i odrębnie też w każdym z tych wypadków się wymawia. Wymawianie *q* i *ę* przed *l*, *ł* i na końcu wyrazów jest podane niezgodnie z poprawną wymową polską. lsk.

Karty pocztowe z widokami Płocka (Tum nad Wisłą, Ogólny widok Płocka, Most na Wiśle, Spacer i bulwar nad Wisłą), wydała tamtejsza księgarnia L. Kempnera.

NADESŁANE.

BUSKO

Dr A. Sulimierski

lekarz szpitala Ś-go Mikołaja, ordynuje jak lat poprzednich.



WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

JADWIGA CRZASZCZEWSKA
JADWIGA W ARN K Ó W NA

Z biegiem Wisły

obrazki o kraju

z 200 rysunkami w tekście i 2 mapami.

Wydanie ozdobne w większym formacie str. 372, zawiera przystępnie opowiedziany opis kraju od źródeł Wisły aż do jej ujścia, typy ludowe, obrzędy i zabawy, podania, legendy, baśnie i powiastki, cudowne miejsca, miejscowości lecznicze, kopalnie i miejsca fabryczne i t. d.

Cena rub. 1.35, w oprawie kartonowej rub. 1.50, w ozdobnej oprawie płóciennej rub. 2.

Nad Prądnikiem

przewodnik po Ojcowie i jego okolicy.

Wydanie ilustrowane. Cena rub. 1, w oprawie kartonowej rub. 1 k. 20.

Po Europie

Kartki z podróży

Czesława Jankowskiego.

Cena rub. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI

DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

JEDNO STULECIE

RUCH WSZECHŚWIATOWY

W CIĄGU XIX WIEKU

2 tomy rubli 2.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. ROGULSKIEGO

w Warszawie. Krakowskie-Przedmieście 17.

a) dzienne dla kobiet, b) wieczorne dla mężczyzn.

Lekarz dentysta A. ZAWADZKI

Jerozolimska 49, róg Marszałkowskiej.

B. asystent kliniki chorób wewnętrzz. Uniw. Jagiell.

Dr Zygmunt Wasowicz

ordynuje jak lat ubiegłych w KRYNICY,

dom pod ORELEM.

Herman i Grossman



16 Mazowiecka 16

Skład Fortepianów, Planin i Organów.

Wynajem.

Sprzedaz na raty

Warszawa, Petersburg, Moskwa, Łódź, Lublin.

BIBLIOTEKA WRÓBLEWSKICH.

Lit.

T

Nr 1291

Dział

Półka 18.

071

LIETUVOS MOKSLU
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250809 6

Lietuvos TSR Mokslų Akademijos
CENTRINĖ BIBLIOTEKA

3130/1901